

Opiekunka z Eberbach

Zaczął się to w połowie lat osiemdziesiątych, gdy Niemcy osiągnęły niezagrożoną pozycję gospodarczego lidera Europy. Należały do grupy G7, w której tylko USA i Japonia miały tak wysoki poziom rozwoju, Mercedes miał ugruntowaną markę, BMW odzyskiwał dawną świetność, Volkswagena wszyscy kojarzyli z garbusem, a Lufthansa latała szczęśliwie, zatrudniając kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Urządzili olimpiadę, byli mistrzami świata w piłce nożnej, marka stała mocno. W życie weszło kolejne powojenne pokolenie, następne szczęśliwie się rodziło. Pamięć minionych lat powoli odchodziła w przeszłość.

Około pięćdziesięciu kilometrów od Monachium mieści się jedna z rezydencji znanej, przemysłowej rodziny niemieckiej, której fortuna zapuściła korzenie, zanim kapitalizm i przemysł zaczęły flirtować ze sobą. Jest to trzypiętrowy pałac zbudowany z kamiennych bloków. Otacza go piętnaście hektarów przyszyronych trawników, ponaddwustuletnie drzewa, kwieciste klomby oraz kilka kilometrów parkowych alejek. W czasie wojny właściciele przeznaczili go na szpital, później na dom opieki subsydiowany przez nich i władze landu. Okolica jest przyjemna, prawie w całości osłonięta przez gęste lasy, przez które płynie rzeka, a powietrze czyste i zdrowe.

Pensjonariuszami są osoby z zamożnych domów, które stać na pokrycie wysokich kosztów pobytu, ale i takie, które wykupiły odpowiednią polisę gwarantującą ich opłacanie. Wszyscy osiągnęli status materialny, który zapewniał odpowiednie towarzystwo.

Opieka bywa tematem pogawędek. Robią to głównie panie, wymieniając zalety zajmujących się nimi pielęgniarek. Często przesadzają i bywa, że ich wypowiedzi przypominają drobną licytację. Ale komu to się nie zdarza?

W tym pałacu spokojnej starości nie znajdziesz nostalgii. Są kręgielnia, biblioteka, kawiarenka, sala odnowy biologicznej i przeszklone patio z eg-

zotycznymi roślinami w olbrzymich donicach, z którego roztacza się widok na park.

Pokoje mają standard hotelowy, korytarze są przestronne i eleganckie. Mieszkańcy każdą porę roku witają z radością. Dwadzieścia cztery godziny na dobę dyżurują psycholog, internista, kardiolog, dwóch rehabilitantów, dwóch masażystów.

Liczbę pacjentów i personelu dobrano tak, by warunki pobytu były luksusowe. Zdecydowano się na atmosferę bliższą kameralnej. Wybór był jednoznaczny, między innymi ze względu na miejsce, w którym znajduje się placówka. Pracę w pałacu miały czterdzieści trzy osoby, które zajmowały się pensjonariuszami, z których twarzy nie schodził uśmiech.

Piękny budynek, troskliwa opieka, wspaniałe jedzenie, rozległy park. Wszystko to sprzyjało życiu teraźniejszości.

Justyna Fleischer pracowała w pałacu najdłużej. Uprzejma, była lubiana przez wszystkich. Współpracownicy cenili jej doświadczenie i profesjonalizm, które stały się rutyną po ponad trzydziestu latach pracy. Samotna, mieszkała w jednorodzinny domku na przedmieściach miasteczka, z którego w dwadzieścia minut dojeżdżała do pracy autobusem kierowanym przez wąsatego Aleksa. Zawsze mówili sobie dzień dobry na powitanie.

Była Polką. Nikt o tym nie wiedział, ani nigdy jej o to nie pytał, nawet po wojnie, kiedy jej niemiecki zdradzał jeszcze obcy akcent. Gdyby jednak ktoś chciał się dowiedzieć skąd pochodzi, bez wahania podałaby kraj urodzenia. Czuła się Polką, choć stała się Niemką. Po mężu odziedziczyła nazwisko i obywatelstwo, uzyskała je rok po wojnie.

W 1940 roku, jako ładna i zdrowa siedemnastolatka, trafiła do obozu w Ravensbrück. Sześć miesięcy później, nie wiedząc dlaczego, nie pamiętając w jaki sposób, znalazła się u niemieckiego bauera, plantatora winogron. W transakcji pomógł, jak dowiedziała się później, strażnik więzienny, który zainkasował prowizję za pośrednictwo. Chłop miał starszego od niej o trzy lata syna, który nigdy nie widział tak atrakcyjnej dziewczyny. Miał też dużo wina z winnicy, które młodzieniec pił często. Po jakimś czasie stało się tak, że

została jego żoną. Zaszła w ciążę, ale nie oszczędzał jej, często pijany. Zginął w 1946 roku w piwnicy, gdy próbował zdjąć z półki beczkę z produkowanym przez siebie winem. Wysunęła mu się z rąk i przygniotła do kamiennej posadzki. Musiała uciekać od oszalałego po wypadku teścia. Będąc w ósmym miesiącu ciąży zgłosiła się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Nie chciała wracać do Polski i w błogosławionym stanie narażać się na niebezpieczeństwo związane z podróżą. Poza tym nie miała dokąd. Była wychowanką domu dziecka, z którego wszyscy zostali zabrani i wagonami wysłani w daleką podróż.

Kobiecie w punkcie socjalnym wyjaśniła łamanym jeszcze niemieckim swoją sytuację. Podała imię i nazwisko męża. Powiedziała, że nie ma gdzie mieszkać, z czego żyć, niedługo spodziewa się dziecka. Dostała adres hotelu, w którym mieszkała do czasu, gdy chłopiec skończył rok. Przez ten okres pobierała zasiłek. Pewnego dnia, zgodnie z prawem, i tak jak się spodziewała, została wezwana na komisję weryfikacyjną, która miała ocenić jej wykształcenie oraz zdolność do pracy. Właśnie wtedy dostała skierowanie do pracy w pałacu jako salowa. Ofertę przyjęła. Nie chciała nic nie robić, żyć wspomnieniami nieudanego małżeństwa i otrzymywać zasiłek. Chciała zmiany, więc pojechała. Znalazła pokój, który wtedy nazywał się stancją i zamieszkała w miasteczku.

Do pałacu, do którego z Monachium jest pięćdziesiąt kilometrów, dojechała pociągiem kupując u konduktora dla siebie i synka bilety z odroczoną tygodniową spłatą. Pokój wynajęła w miasteczku, w którym mieszka do dziś. Gdyby nie zaświadczenie z punktu meldunkowego, mogłaby długo szukać. Nikt nie chciał wynajmować lokum kobiecie podejrzanego pochodzenia, z dzieckiem, na dodatek bez pieniędzy. Zamieszkała razem z młodą Niemką, ocalałą z nalotu na Berlin, która także pracowała w pałacu, jako pielęgniarka. Szybko się polubiły. Pożyczyła od niej pieniądze na pierwszy miesiąc, wspólnie opiekowały się chłopcem. Nie liczyła, ile razy przechodziła i przechodzi, obok sali, w której jej synek zmarł niespodziewanie po pięciu dniach choroby, którą najprawdopodobniej przyniosła do domu któraś z nich. Dwa lata później ko-

leżanka poznała leżącego w szpitalu Francuza. Zakochała się i wyjechała z nim na zawsze. Ona dzięki temu przestała być salową i awansowała na zwolnione miejsce. W 1952 roku podjęto decyzję o zamknięciu szpitala, którego wojskowe przeznaczenie nie miało już racji bytu i przekształceniu go w dom opieki.

Po wojnie Europa i Niemcy podzieliły się. Powstał mur berliński. Dla osoby takiej jak ona wyjazd do Polski był ryzykowny, a powrót z niej najprawdopodobniej niemożliwy. Pracowała więc, skupiając się na tym, by dobrze wykonywać powierzone jej obowiązki. W 1964 przeprowadziła się do niewielkiego domku kupionego na kredyt, który już mogła zaciągnąć. Raty skończyła chyba spłacać. Awans na starszą pielęgniarkę i jasnoszary strój przynależny funkcji dostała sześć lat później i choć w następnych latach proponowano jej objęcie kolejnego stanowiska zawsze odmawiała. Nie przepadała za papierkową robotą, a lubiła swoją pracę. Czuła się doceniana, odpowiadał jej kontakt z większością pensjonariuszy, załotne spojrzenia, pytania, czy wszystko w porządku. Chciała wyprowadzać ich na spacer po niekończących się alejkach, które niczym kręte autostrady przecinały trawniki, wymijając rozłożyste stare drzewa i patrzeć na kolorowe klomby kwiatów, które wyglądały na idealnie przyciętej murawie jak egzotyczne wyspy. Przywiązała się już do tego stanowiska i miejsca. Prawie bez żalu do nikogo i niczego. Brała jeden wolny dzień w tygodniu, mimo że jak wszystkim przysługiwały jej dwa.

Na początku wiosny tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, podjechał pod jedno z bocznych wejść samochód przywożąc starszego, szczupłego mężczyznę. Gdy go wyniesiono i posadzono na wózku inwalidzkim, wiatr rozwał jego rzadkie, siwe włosy. Nie odzywał się. Miał niedowład połowy ciała. Kierowca wystawił z samochodu niewielką walizkę i wyprostował się, by odejść, a wtedy podmuch rozchylił mu kłapy marynarki. Zapiął ją i pożegnał się z pielęgniarką. Powiedział do widzenia siedzącemu i odjechał.

Człowiek, którego przywieziono miał siedemdziesiąt sześć lat. Nazywał się Adrian Sonnenberg. Był chory, unieruchomiony i zdawał sobie sprawę z ograniczeń swojego ciała. Cieszył się natomiast, że wyszedł ze szpitala, ponieważ ostatnie spędzone tam tygodnie niewiele mu pomogły. Po dwumie-

sięcznym pobycie w nim jego sąsiedzi, razem z przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej, znaleźli dom opieki, w którym miałyby odpowiednią pomoc i warunki powrotu do zdrowia.

Pielęgniarka wtoczyła po podjeździe wózek. Zatrzymała przed drzwiami, zablokowała koła i wróciła po walizkę. Potem bezszelestną windą zawiozła nowego pensjonariusza na drugie piętro, gdzie miał apartament. Po kilku minutach przyszedł lekarz. Pan Sonnenberg bardzo powoli odpowiadał na pytania, pomagając sobie nieznacznymi ruchami głowy i lewą ręką. Potem przez pół godziny doktor Melzer wyjaśniał mu zasady opieki medycznej.

Justyna Fleischer miała wolny dzień, gdy pan Sonnenberg przyjechał. Spędzała go na zakupach, drobnych domowych obowiązkach i odpoczynku. Następnego dnia przed południem odwiedziła nowego pensjonariusza. Wcześniej przeczytała dokumentację medyczną i notatki zrobione przez lekarza. Przebiegło jej przez myśl, że gdzieś spotkała to imię i nazwisko. Ale przypomniała sobie, ile razy przyjmując nowe osoby miała podobne skojarzenia. Spędziła z panem Sonnenbergiem czas do południa, nie chcąc męczyć go zbyt długo swoją obecnością. Wyprowadziła wózek do hallu, przed ogromne okna, by mógł patrzeć na panoramę parku.

W połowie lata jego stan ustabilizował się, a nawet nieznacznie poprawił. Jadł posiłki we wspólnej sali, lepiej się porozumiewał, starał się jak najwięcej czynności wykonywać samodzielnie. Regularnie zabierano go do parku. Podawany był codziennej rehabilitacji. Towarzyszące mu pielęgniarki zmieniały się w zależności od grafiku. Parę razy była z nim Justyna Fleischer i po każdym spotkaniu szukała w zakamarkach pamięci okoliczności, które mogły ich zetknąć. Ponieważ niczego sobie nie przypominała, uznała, że to najprawdopodobniej efekt zmęczenia. Poza tym starzeję się, uświadomiła sobie po raz kolejny i dała spokój wspomnieniom.

Jednak październikowy spacer z Sonnenbergiem cofnął czas o prawie czterdzieści lat.

Nie pamiętała powodu, dla którego podeszła, kiedy oglądał telewizję w kafeerii i zaproponowała przejażdżkę po parku. Czasami potrzebowała po

prostu oderwać się od zajęć i dotlenić. Nigdy nie zajmowało to dużo czasu, musiała bowiem wracać do obowiązków.

Oddalili się od pałacu.

Alejka prowadziła ich krzyżując się z innymi. Wiła się co jakiś czas między drzewami, niczym tor wyścigowy. Park zrobił się pusty. Jeżeli ktoś był na spacerze przed pałacem to byli już zbyt daleko, żeby ich dostrzegł. Przed sobą ujrzeli dym i budynki gospodarcze. Dojechali do nich po kilku minutach. Na środku żwirowego placu paliła się wysoka góra liści, a obok stał mężczyzna. Opierał się o widły. Za plecami miał średniej wielkości domek, naprzeciwko którego był główny budynek z trzema bramami garażowymi. W głębi, przy ścianie, stały dwa ciemnozielone kontenery na odpadki, obok taczka, na niej łopata. Podjechali do ogniska i przywitali się z panem Garprickiem. Pochylił się uprzejmie w stronę pana Sonnenberga, ucieszył się, że go odwiedził. Rozmawiali o obowiązkach ogrodniczych i przygotowaniach do zimy. Mężczyzna co jakiś czas pochodził do ognia i podgarniał nadpalone liście i kasztany, które się rozsypywały. W pewnej chwili przeprosił ich. Podeszedł do taczki. Podjechał nią pod kontener, otworzył jego wąski bok i wszedł do niego z łopatą. Słyszał było, że jej używa. Pojawił się po kilku minutach. Spojrzał w ich stronę uśmiechając się, a do taczki zaczął wrzucać przygotowaną w kontenerze mieszaninę liści i kasztanów. Podjechał do ogniska i wysypał zawartość podgarniając łopatą to, co się rozsypało. Kasztanów jest tak dużo, wytłumaczył Sonnenbergowi, że tylko pałac je można się ich pozbyć. Staruszek patrzył w stronę ogniska. Wtaczane przez ogrodnika w płomienie strzelały jak kapiszony, a biały dym wił się nad nimi.

Garprick ponownie poszedł z tawką pod kontener i zniknął w nim jeszcze raz. Pielęgniarka spojrzała z boku na Sonnenberga, chcąc upewnić się, czy wszystko w porządku. Dostrzegła dziwny wyraz twarzy, napiętą mimikę. W pierwszym odruchu pomyślała, że ma udar. Ale wykluczyła tę możliwość. Wręcz przeciwnie, jego twarz wyrażała emocje, które sprawiły, że w pamięci pielęgniarki rozpoczął się proces kojarzenia. Wiedziała, że przypomni się jej coś, o czymś myślała, co niespodziewanie rozwiąże zagadkę. Nie to było

jednak najważniejsze. Interesował ją wyłącznie stan Sonnenberga. Nachyliła się nad staruszką przyglądając mu się. Ukucnęła. Siedział stabilnie. To utwierdziło ją w przekonaniu, że nie stało się nic poważnego. Odwrócił głowę od miejsca, w którym paliły się kasztany. Nie patrzył też na pielęgniarkę, mimo że była przed nim.

– Panie Sonnenberg, czy wszystko w porządku? Dobrze się pan czuje?

– Tak.

Zobaczyła, że stara się, by z twarzy zniknęła mu złość, a głos brzmiał normalnie.

– Tak. Jedźmy już stąd, proszę panią – powiedział grzecznie, ale dał do zrozumienia, że nie chce dłużej zostać.

Zaskoczył ją. Większość tych, z którymi tu przyjeżdżała lubiła to miejsce, a rozmowy z ogrodnikiem stanowiły atrakcję i pretekst, by dłużej zostać. Udzielali mu nawet rad dotyczących pielęgnacji roślin i parku. Sonnenberg był wyjątkiem. Chciał opuścić to miejsce po bardzo krótkim czasie. Był rozdrażniony.

– Oczywiście. Już wracamy – zapewniła go.

Pan Garprick podjeżdżał z tawką z naprzeciawka.

– Przewożenie tego wszystkiego to sama przyjemność w porównaniu do grabienia – stwierdził.

Zatrzymał się przy ognisku i wrzucił do niego zawartość taczki.

– Niech mi pan wierzy. Niektórzy pytają mnie, czy jeszcze się nie przyzwyczaiłem, po tylu latach. Nie. I nigdy się nie przyzwyczaję. Za dużo tego tutaj jest. Ale to lepsze niż grabienie. Naprawdę. Dobrze się pan czuje?

Biały dym buchnął do góry. Pojawił się ogień. Kasztany zaczęły strzelać.

– Tak. Ale chcę już wracać – Sonnenberg był zdenerwowany.

– Rozumiem. Nie lubi pan ognia. Nie każdy lubi. Szczególnie dymu. Nie jest przyjemny. Szczęśliwie dzisiaj nie ma wiatru. Dla mnie akurat palenie to przyjemność, bo wiem, że mam spokój do następnego roku. Jak się pali kasztany – kontynuował podgarniając je – to przynajmniej coś się dzieje. Strzelają, jak na wiat. Takie małe i gładkie. Mówię na nie łyse główki. Do

widzenia. Nie zatrzymuję już pana – pożegnał się ze staruszką ukłonem. – Do widzenia, pani Fleischer, miłej pracy.

– Do widzenia i wzajemnie – powiedziała zamyślona.

Była bliska przypomnienia sobie, skąd zna staruszkę. Bała się jednak, że ślad urwie się niespodziewanie, jak to się czasami dzieje. Na szczęście tak się nie stało. Odwróciła wózek i ruszyła alejką do pałacu. Kilkadziesiąt metrów dalej wiedziała już, gdzie spotkała tego człowieka. To było dawno temu. Ale nie miała wątpliwości. Żeby się upewnić, weźmie w domu książkę wydaną przez fundację – nie pamięta jak się nazywała – zajmującą się dokumentowaniem zbrodni hitlerowskich, tych, które z różnych względów zostały przemilczane i zatajone. Na końcu jest osobowy spis wojskowych. Była prawie pewna, że znajdzie go tam.

Czuła się dziwnie. Pchała przed sobą nazistę odpowiedzialnego za śmierć i cierpienie wielu ludzi. Poczwała dreszcz na plecach. Nieoczekiwanie park zrobił się pusty. Zauważyła, że poza Garprickiem, który został między budynkami, byli sami. Nie przychodziło jej do głowy, jak ma się zachować, ani co zrobić. Stwierdziła, że na razie nie powinna robić nic. Spokojnie, za dzień, dwa albo kilka, przyjdzie jej do głowy jakiś pomysł. Przez ten czas zorganizuje pracę tak, żeby nie widzieć się z Sonnenbergiem. Nie chciała się zdradzić.

W domu, jak podejrzewała, znalazła w książce fotografię staruszki z czasów młodości. Przeczytała życiorys i zawahała się, czy nie powinna zgłosić odnalezienia Adriana Sonnenberga instytucjom zajmującym się poszukiwaniem osób takich jak on. Wiedziała jednak, jak przebiega wymierzanie sprawiedliwości byłym nazistom, ilu wolnych żyje w dostatku i pracuje na dobrze płatnych posadach, tworząc nieformalne kręgi w polityce, firmach, urzędach, sądach. Wszędzie. Nie wierzyła, że Adriana Sonnenberga w Niemczech spotka wyrok, na jaki zasługuje. Wojna, choć od jej zakończenia minęło prawie czterdzieści lat, nie skończyła się wcale tak dawno temu, a ci z którymi służył nadal żyją i dobrze się mają. Spróbuje więc sama uporać się z tą sprawą. Jeżeli się nie uda, znała miejsce, gdzie się zgłosi.

Szczęście pomogło Justynie Fleischer cztery miesiące później. Adrian Sonnenberg upadł w pokoju tak nieszczęśliwie, że złamał nogę i nadwyrężył staw biodrowy. Na sześć tygodni wrócił na wózek inwalidzki. Z powodu bólu przebywał głównie u siebie i musiał oddać się w troskliwe ręce pielęgniarek znacznie częściej niż przed wypadkiem. Jako najstarsza i doświadczona zajmowała się nim odwiedzając go regularnie. Miała już w głowie rozwiązanie, co zrobić w tej sytuacji. Pan Adrian Sonnenberg był przed wojną i w jej czasie członkiem Waffen-SS. Musiał więc słyszeć o grze w „Prawdę i męstwo”. Przypomni mu ją. Zapyta, czy lubił w nią grać i poprosi o przypomnienie najlepszych fragmentów.

Staruszek nie zorientował się, że go rozpoznała. Lubił Justynę Fleischer, ufiał jej wiedzy medycznej. Nie był więc zdziwiony, gdy zaczęła odwiedzać go głównie ona. Po kilku spotkaniach zorientował się, dlaczego.

Zapukała do niego pewnego mroźnego styczniowego popołudnia. Weszła, usłyszawszy odpowiedź i przywitała się uprzejmie, pytając o zdrowie. Tacę z owocami i słodyczami postawiła na szafce pod ścianą.

– Dziękuję, nie najgorzej. Chociaż dzisiaj mogłoby być lepiej – odpowiedział typowym dla starszych ludzi żartem. Siedział w fotelu skierowanym w stronę wyłączzonego telewizora.

W pokoju było cicho. Domyśliła się, że musiał drzemać lub odpoczywać.

– A u pani co słychać? Może mi pani podać, pani Justyno, szklankę wody? Stoi na stole. Butelka jest w kuchni.

– Oczywiście. U mnie wszystko w porządku – podeszła do stołu. – Co może dziać się u samotnej kobiety? Nic ciekawego. Praca, dużo pracy. Zdrowie dopisuje. To najważniejsze.

Weszła do kuchni, sięgnęła po wodę, nalała do szklanki. Podała Sonnenbergowi i spojrzała na niego.

– Pan naprawdę znosi po męsku ten wypadek. Żadnego uskarżania się, narzekania. Żeby wszyscy pacjenci tacy byli. Jest pan posłuszny i zdyscyplinowany. Proszę nie zrozumieć mnie źle – poprawiła się. – W dobrym tego słowa znaczeniu – zerknęła na zegar. – Za dziesięć minut lekarstwa, panie

Adrianie. – Wyjęła z kieszeni pudełeczko z odmierzonymi w dyżurce tabletkami i położyła obok niego. – Gdzie się pan tego nauczył?

– Dziękuję. Miła pani jest. To kwestia wychowania i charakteru. Ale nie sądzę, szczerze mówiąc, żebym był, tutaj w Eberbach, taki wyjątkowy jak pani mówi. Jest pani uprzejma. Jak zawsze.

– Również dziękuję za miłe słowa. Mam nadzieję, że zasłużyłam na nie. Pomaganie pacjentom to moje powołanie. Temu się poświęcam. Chciałby pooglądać pan telewizję?

– Nie, później. Jak będzie pani wychodziła, proszę włączyć.

– Dobrze. Przetnę trochę kurze – poszła do kuchni. – Obrąć panu jakiś owoc? Grejpfruta, banana albo kiwi?

Rozglądała się, szukając ściereczki do kurzu. Otworzyła drzwiczki pod zlewem, tam ją znalazła.

– Grejpfruta. Może mi pani nalać koniaku? Tyle co zawsze. Słodyczne, jakie są dzisiaj?

– Zaraz naleję. Przyniosłam bombonierki wiśniowe i czekoladę z migdałami. Co panu podać?

– Czekoladę.

Przyniosła połamaną na talerzyku. Podeszła do przeszkolonego kredensu stojącego przy telewizorze. Wyjęła butelkę z koniakiem i nalała mu taką porcję jak zwykle.

– Proszę – podała.

Przestawiła fotel i podnózek, na którym sztywno opierał nogę w gipsie.

– Chce pan tak, czy woli bardziej w stronę okna? Proszę pamiętać, że bierze pan lekarstwa – przypomniała wskazując na koniak.

– Tak jest dobrze. Pamiętam. Zawsze mi pani o tym przypomina. O, dziękuję – powiedział, gdy przesunęła fotel. Zjadł dwa kawałki czekolady.

Pielęgniarka wzięła grapefruita i poszła do blatu w kuchni.

– Ale charakter, a propos – zagadnęła. – Bywa różny. Wie pan, jacy są ludzie. Każdy inny. Łagodny, stanowczy. Niektórzy złośliwi. Niech mi pan wierzy, tacy też są. I to niemało. Charakter nie kojarzy mi się tylko pozytyw-

nie. Nie wiem, z czego to wynika. Pewnie głównie z tego, że kształtuje się go w młodości. Podczas przygód z przyjaciółmi, kiedy się okazuje, na kogo można liczyć. W wojsku. Później nabiera tylko kształtu. Indywidualnego koloru. Tak to odbieram. Jest jasny albo ciemny, czarny. Tak się nawet mówi. Z natury jestem łagodna. To mój jest chyba jasny? Zgadza się pan?

– Pani Justyno, nie znam pani zbyt długo. Ale na pewno mogę powiedzieć i każdy to potwierdzi, że ma pani wspaniały charakter. I na pewno jest jasny. Może niebieski? – podniósł koniak do ust i przechylił. – Myśli pani, że ludzie z natury są dobrzy?

Odwróciła się do niego. Zastanowiła się i odpowiedziała:

– Myślę, panie Adrianie, że wszyscy rodzą się tacy sami – uśmiechnęła się, po czym wróciła do czynności, którą przerwała. – Jak pan myśli?

Sonnenberg zjadł kawałek czekolady, popił koniakiem. Podrapał się po dłoni. Odchrząknął.

– Nie wiem. Później to zależy, do czego dążymy, pani Justyno. Powinniśmy brać pod uwagę cel. Życie jest nieprzewidywalne.

– Może ma pan rację. Pora na lekarstwa.

Podeszła do stołu. Otworzyła pudełeczko i wysypała tabletki na wyciągniętą dłoń mężczyzny. Podała mu szklankę z wodą.

– Proszę.

Wypił i podziękował. Pielęgniarka odniosła ją do kuchni. Wróciła do wycierania kurzu.

– Wie pan, że zawsze żałowałam, że nie jestem taka praktyczna i metodyczna jak inni. Myślę, że straciłam na tym. Jestem zorganizowana, obowiązkowa. Nikt nie zawiódł się na mnie. Swoje prace wykonuję bez zarzutu, ale w porównaniu z innymi mam wrażenie, że to niewiele. Nic specjalnego w życiu nie osiągnęłam. Może gdybym była inna, mogłabym więcej.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Pani Justyno, przesadza pani. Osiągnęła pani wiele. Ma pani dom. Od lat pracę w miejscu, do którego trudno się dostać, trzeba mieć nie lada referencje.

– Przesadza pan. Z tymi referencjami dobrze wiem, jak jest, panie Adrianie. Od dawna jestem w komisji przyjmującej pracowników.

– No i co z tego? Widzę po personelu, że podejmujecie dobre wybory. Każdy ma swój obszar i na nim swoje sprawy i zadania powinien wykonywać najlepiej jak potrafi. Wtedy jest doceniony, zbiera pochwały. Tak jak jest w pani przypadku. Przecież wie pani o tym. Niech się pani tego trzyma, jak do tej pory. To będzie z pożytkiem dla takich starych ludzi, jak ja.

– Miły pan jest – zaczęła wycierać stół. – Chodziło mi właśnie o teren działania. Czasami zastanawiam się, jak to jest mieć pod sobą dużo ludzi. Unika się rutyny. Na pewno jest ciekawiej. Porównuję to do pałacu, w którym jestem prawie czterdzieści lat. Całe moje życie zawodowe robię to samo. Odpowiadam za te same osoby, wykonuję te same czynności, one i ja. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Tak.

– Ma pan jakieś podobne doświadczenia?

Podeszła do komody przy telewizorze. Usłyszała jak Sonnenberg poruszył się.

– Niestety żadnych, pani Justyno. Też nie było mi to dane.

Stała odwrócona plecami do niego. Dobiegł ją znajomy dźwięk stawiania kieliszka na stole.

– Zaraz kończę. Nie brakuje panu niczego w łazience? Ma pan jeszcze nożyki do maszynki? Nie trzeba wymienić?

– O wszystko przecież pani dba, więc jest w najlepszym porządku. Niczego nie potrzebuję. Nożyki może wymienić pani w piątek.

– Dobrze – odkręciła wodę i wypłukała ściereczkę. Umyła ręce. Wróciła do pokoju i usiadła na kanapie.

– Myślałam, że pan wie i powie mi, jak to jest mieć dużo ludzi pod sobą. Sonnenberg zrobił zdziwioną minę, ale przyglądał się jej uważnie.

– Nie wiem, o co pani chodzi. Nie mam takich doświadczeń, pani Justyno – wzruszył ramionami. – Całe życie spędziłem na urzędniczym krześle z maksymalnie dwoma kolegami w pokoju. Niestety.

– To byli pana koledzy z wojska? Z Waffen-SS? Graliście panowie po pracy w „Prawdę i męstwo”?

Jego twarz napięła się. Była jak kamienna maska. Do momentu, aż się odezwał: – Co pani wygaduje? O czym pani mówi? Jak pani śmie mylić mnie z kimś i sugerować udział w SS bezpodstawnie? W czasie wojny pracowałem w fabryce w Landau. Nadzorowałem produkcję chemiczną jako starszy technolog. Odpowiadałem za produkcję farb, lakierów, koncentratów, czy rozpuszczalników, jeżeli panią to interesuje. Oczywiście wiedziałem, że prawie cała produkcja szła dla wojska, ale nie miało to nic wspólnego z SS. Pani Justyno, jak pani może posądzać mnie o takie rzeczy? Zdenerwowałem się, ale proszę wziąć pod uwagę mój wiek. Nie może pani tak mówić. Do nikogo. Wojna była dawno temu i bardzo łatwo skrzywdzić kogoś na podstawie plotek, pomylenia nazwiska. A to dużo kosztuje i wyrządza nieodwracalną krzywdę.

Patrzył, czy rada odniosła zamierzony skutek.

– Dobrze, że znam panią i wiem, że jest pani dobrym człowiekiem. Dbaj o mnie, wspaniale się stara. Więc zapomnę o tym. Ale proszę pamiętać, co pani powiedziałem. Można skrzywdzić wiele starszych już osób. Plotka to najgorsza zaraza. Niewarta zajmowania się nią. W tej sytuacji – przybrał żartobliwy ton – muszę poprosić panią o jeszcze jedną porcję koniaku. Jestem trochę roztrzęsiony.

– Już panu podaję – nalęła tyle co zwykle i postawiła przy nim.

Usiadła ponownie na kanapie.

– Rozmawiałam z panami Budenmaierem i Flocem. Z każdym oddzielnie. Nie utrzymują kontaktów ze sobą. Nigdy nie utrzymywali. Ale każdy z nich opowiadał mi, jak graliście w Polsce w „Prawdę i męstwo” – kłamała. Nazwiska mężczyzn znalazła w książce, w której oglądała jego zdjęcie i przeczytała życiorys. Byli w tej samej kompanii. Zostali wymienieni jako żołnierze pododdziału walczącego w Polsce. Musieli się znać. Przy nich, tak jak przy nazwisku Sonnenberga, była tylko data urodzenia, oznaczało to więc, że najprawdopodobniej żyli. – Mówili, że nie pamiętają, żeby pan wygrywał.

Za to podobno często pan zmyślał. To prawda, że jako jedyny nie dostał pan nagrody?

– Ooo – Sonnenberg głęboko nabrał powietrza. Zdenerwował się i zaczerwienił. Chciał coś powiedzieć. W ostatniej chwili zmienił zdanie. Sięgnął po koniak. Wypił zostawiając niewiele na dnie. – Co pani wygaduje? Nie znam tych ludzi. Niestety, muszę panią wyprosić z pokoju. Bardzo mi przykro, ale nie słucha mnie pani i przekroczyła dzisiaj wszystkie granice – starał się, by jego głos brzmiał spokojnie. – Zgłoszę naszą rozmowę, pani zachowanie, dyrekcji. Mam nadzieję, że wyciągną odpowiednie wnioski. Bardzo mi przykro, pani Justyno, ale muszą z panią coś zrobić. W przeciwnym razie, jeżeli będzie pani rzucała tego typu bezsensowne oskarżenia na mnie, albo na kogoś innego, to z powodu naszego podeszłego wieku może pani wysłać kogoś do szpitala. W najgorszym przypadku gdzie indziej. Mówiłem o tym, ale jak widać nie jest pani taka troskliwa, jak pani mówi. Proszę opuścić pokój.

Uśmiechnęła się niewzruszona groźbą i usiadła na brzegu kanapy, bliżej niego.

– Panie Adrianie Sonnenberg. Musi pan wiedzieć, że bardzo dużo pan straci robiąc to. Wydaje mi się, że może to być coś najcenniejszego, co pan ma. Wolność. Albo życie. Nie wiem, co pan bardziej ceni. Nie obchodzi mnie to. Jestem umówiona z pewną osobą, że w przypadku gdyby stało mi się cokolwiek, pańskie aktualne zdjęcia i adres pobytu trafiają następnego dnia do ambasady Izraela i fundacji pana Wiesenthala. Na pewno wie pan, czym się zajmuje. Więc proszę się nie spieszyć. Proszę lepiej zapytać, czego od pana oczekuję. Może będzie warto, żebym milczała.

Sonnenberg wydawał się zaskoczony tym, co niespodziewanie spotkało go na stare lata.

– Proszę tak nie mówić. Naprawdę nie wiem, co robić – odezwał się. – Oskarża mnie pani o nieprawdę. Wymyślone historie, nie ma pani dowodów. Jacyś ludzie, o których pierwsze słyszę. To wszystko jest zmyślone.

– Nic nie jest zmyślone. Nie jest pan ciekawy, co proponuję? Proszę mnie zapytać. Będzie pan spał spokojnie.

– Nie, nie zgadzam się. Proszę mi podać szklankę wody – sięgnął do stołu po czekoladę. – Będę spał spokojnie i tak. Co pani chce osiągnąć szantażując starego człowieka?

Poszła do kuchni i nalała mu wody. Podała i usiadła.

– I tak zachowuję się lepiej niż pan czterdzieści lat temu – spojrzała na okno. – Proszę mi przypomnieć przed wyjściem, żeby nie zapomniała podlać kwiatków.

Patrzyła na niego, jaką pozę stara się przybrać. Jak gdyby to wszystko go nie dotyczyło. Ale było to niedoskonałe. Wyglądał żałośnie. Postarzał się o dziesięć lat.

– Wiem o panu dużo. Tak dużo, że może być pan ze mną szczery.

– Nie sądziłem, że możesz być taka bezczelna – napił się wody.

– Dlaczego zrównuje pan szczerłość z bezczelnością?

Przełknął wodę i odstawił szklankę.

– Porównuję kłamstwo z bezczelnością. Wiesz najlepiej, o czym mówię.

– Broni się pan, jak prawdziwy żołnierz. Nie stosuje pan tylko brudnych metod, których używało SS.

– Nie wiem, jakie metody stosowało SS, bo nigdy do niego nie należałem.

– W takim razie nie ma pan nic przeciwko temu, żeby informacja o panu trafiła do ambasady Izraela i fundacji Szymona Wiesenthala.

– Mam – odpowiedział zdecydowanie. – Niech pani nie robi krzywdy niewinnemu człowiekowi. Tak się nie robi. Tak nie można.

– Szkoda, że w czasie wojny nie zastanawiał się pan, czego nie można robić. Zapyta mnie pan, jaką mam propozycję, czy mam zacząć tracić cierpliwość?

– Nie chcę znać twojej propozycji – odrzekł zniechęcony. – Zastanów się, kobieto, co robisz. Jestem stary, niewinny, chory. Jak widzisz.

– Dobrze było panu w wojsku? Chcę, żeby wrócił pan do tamtych czasów. Może pan coś zmienić, jeżeli było inaczej niż mówili panowie Budenmaier i Floc. Mam na myśli nagrodę, której podobno nigdy pan nie dostał.

Sonnenberg zaklął rozdrażniony.

– Niczego nie zmienię. Niczego. Nie ma co zmieniać. Czego chcesz? – spojrzał na pielęgniarkę w oczekiwaniu na ugodową propozycję.

– Chcę, żeby grał pan ze mną w „Prawdę i męstwo”.

– Co? – zapytał, jakby nie usłyszał, co powiedziała.

– Chcę, żeby był pan najlepszy w tej grze.

– Czy ty wiesz, co mówisz? Jeżeli znasz „Prawdę i męstwo” to wiesz, że grało się w nią tylko na wojnie, tylko. To była gra wojenna. Dla walczących w imieniu III Rzeszy żołnierzy Waffen-SS. Dla podtrzymania ducha bojowego. Teraz jej nie ma – rozłożył ręce. – Skończyła się dawno temu. Niemożliwe, żebym to zrobił. Nawet gdybym chciał.

– Musi pan spróbować. Przypomnieć sobie swoje najlepsze opowieści. Może miał pan, inaczej niż mówią koledzy, jakieś nagrody. Jeżeli był pan najgorszy, chcę żeby zmienił to pan, panie Sonnenberg. Nie chcę słuchać słabych historii kiepskiego żołnierza Proszę opowiadać tak, jakby był pan wyjątkowy i najlepszy, żeby po każdej bitwie to panu należała się nagroda. Na wojnie grał pan nie raz. Nie wiem, czy ocenię to sama czy z panami Budenmaierem i Flocem. Ale ma się pan starać. Panie Adrianie, nie chcę od pana rzeczy niemożliwych. Musi pan tylko wrócić na wojnę. Pana koledzy...

– Czy oni... – zapytał z nadzieją.

– Kontaktuję się z każdym z was osobno – przerwała. – Nie mogę nic powiedzieć. Pan ma najmniej szczęścia z całej trójki. Tylko tyle mogę zdradzić. Ale mogę też pomóc. Sam może pan sobie pomóc. Chyba, że nie zostawi mi wyboru. Wtedy sprawiedliwość wyciągnie po pana ręce.

– Sprawiedliwości nie ma i nie było nigdy, na szczęście. Jesteś wredna i szalona – patrzył na nią z obrzydzeniem. – Chce mi się pić. Podaj mi jeszcze.

– Dodać panu wody?

– Koniaku. Wypiję później. Ty zakłamana... – zawiesił głos szukając słów.

– Proszę, niech mnie pan nie obraża.

– Kim ty jesteś? Jak możesz to robić? – pielęgniarka zabrała kieliszek ze stołu. – Jesteś Żydówką? Syjonistyczną starą agentką? Kurewką, która przez łóżko dostała się do wywiadu, bo inaczej nie miałabyś szans? A teraz koniecz-

nie chcesz sobie udowodnić, że tak nie było – prychnął z pogardą. – Gdyby nie my, nie byłoby dzisiejszych Niemiec.

Zaczęła się śmiać.

– O tak, ma pan rację. Niech pan zachowa tę pewność siebie na jutro. Dobrze pan rozpocznie. Przyjdę posłuchać jutro wieczorem. Niech pan zacznie się szykować. Przypomina sobie pan, jak to było, gdy zapadał wieczór, wszyscy się zbieraliście, każdy opowiadał, a dowódca słuchał i oceniał najlepsze dowody waszego męstwa. To na pewno były niezapomniane żołnierskie przechwałki. Dla podniesienia morale, ducha walki. Było tak?

Postawiła pękaty kieliszek z alkoholem na stole.

– Nie pamiętam. Ile to będzie trwało?

– Nie wiem. Nie planuję przyszłości. Może krótko, może dłużej. Wszystko zależy od pana.

Popatrzyła na niego, on odwzajemnił się wzrokiem, który wyrażał wszystkie najgorsze uczucia.

– Mam nadzieję, że załatwię to jak żołnierz – odezwał się po chwili. – Zawieź mnie do łazienki.

Podstawiła wózek. Posadziła Sonnenberga i wjechała z nim do łazienki. Gdy się załatwiał, rozejrzała się po pokoju i podeszła do okna. Śnieg przykrył park. Nikogo na zewnątrz nie było. Pogoda była kiepska, na niebie brzydkie chmury.

– Już!

Zabrała go i posadziła w fotelu.

– Muszę wracać do innych pacjentów, panie Adrianie. Włączę telewizor. Jutro po południu i wieczorem się zobaczymy. Kolacja przyjedzie o dziewiętnastej.

Stary prychnął pogardliwie.

– Panie Adrianie – powtórzył kpiąco. – Jaka jesteś miła. Dla innych też jesteś taka wredna? Ilu zakapowałaś, co?

– Zostawię pana z tym pytaniem. Coś jeszcze zrobić dla pana? Podać panu koca?

– Nie. Wyjdź już.

– Do widzenia, panie Adrianie – podeszła do drzwi. – Proszę być dobrej myśli. Ale proszę się na jutro przygotować.

Sonnenberg spojrział w stronę korytarzyka, w którym stała przed chwilą. Myślał o Bedenmaierze i Flocu, dwóch emerytowanych, miał nadzieję, że srających w spodnie, donosicielach. Służyli razem półtora roku. Na wojnie to wystarczająco długo, żeby dowiedzieć się o sobie wszystkiego. Nie polubili się, ale w czasie walki musieliby oddać za siebie życie i zrobiliby to. Ta więź po tym, co przeszli powinna zostać na zawsze. Wykorzystywanie słabości żołnierza, opowiadanie o niej po tylu latach, to łamanie zasad. Zrobili to dla pieniędzy albo potrzebują rozgłosu. Nędzni i kłamliwi. Nigdy nie powinni nosić munduru. Grali w „Prawdę i męstwo” wymyśloną dla Waffen SS co wieczór, oczywiście, gdy pozwalały okoliczności. To była jedna z zasad. Dowódcy – dwóch – jeżeli sobie dobrze przypomina, tak dwóch, których miał, w czasie kiedy służył razem z tymi zdrajcami, byli wymagający. Zależało im, żeby wszyscy słuchali najlepszych. Raportowali te akcje, które wywierały największy wpływ i miały być naśladowane. Ale były dni, że zabijało się jednego, dwóch. Nikogo. Także się zdarzało. Walczyło się do upadłego tydzień, innym razem potyczka trwała pół dnia albo była pacyfikacja. Różnie bywało. Więc i jemu zdarzyło się kilka razy podkolorować. Nie jemu jednemu, wiedział to. Podejrzewał, że ci dwaj kapusie, chociaż się nie przyznali, też to robili. Później, gdy służył w obozach, nigdy nie zmyślał. Ale miał przynajmniej to, czego oni nie mieli, odwagę. I przyznał się. Był i jest lepszym żołnierzem niż oni. Powie jej – skoro chce – kilka historii. Przynajmniej będzie miał spokojną starość w tym pałacu. Pewnie im przekaze. Domyślał się, co zrobią, ale niewiele go to obchodziło.

Napił się koniaku. Nieznacznie zwiększył głośność w telewizorze. Był zły, ale nie na pielęgniarkę. Zastanawiał się i nie potrafił zrozumieć, jak można splamić honor i zdradzać tajemnice, które powinny zostać między nimi na zawsze. Zestawił nogę ostrożnie na podnózek wózka i podjechał do okna zasłonić zasłony. Wojna to nie było nic strasznego. Były ofiary, dramaty. Tak jak zawsze, ale przynajmniej każda wojna niesie coś pozytywnego. Rozwój

przemysłu, nauki, dominację idei. Odchodzi stary, przychodzi nowy porządek. Taka też miała być ta ostatnia. Nie udało się do końca. Niestety. Nie wielu to rozumie. Głos zabierają ci, co nie potrafią ocenić. Patrzą z punktu widzenia jednostki, głupcy, a tego nie można porównywać.

Podrapał się po policzku. Zaczął przypominać sobie fragmenty. Podświadomie szykował się, by wybrać najlepsze, aby opowiedzieć je pielęgniarce, a pośrednio Flocowi z Budenmaierem.

Rozmyślania przerwała mu kolacja. Kobietę, która ją przywiozła, widział już któryś raz, ale nie znał jej imienia, i nie zapytał. Był zaabsorbowany innymi sprawami. Poprosił, by przyniosła czarną kawę. Chciałby wieczorem posiedzieć dłużej i dokończyć książkę. O dwudziestej przyszła pielęgniarka. Poślała łóżko, zawiozła go do łazienki, pomogła się umyć. Asekurowała, gdy przesiadał się na fotel, z którego oglądał telewizję. Podała lekturę, którą jednak odłożył na stół. Wyszła, życząc mu miłej nocy.

Wyłączył telewizor. Powracały obrazy walk i wieczorne opowieści z „Prawdy i męstwa”. Przypominał sobie pochwały, gratulacje dowódcy oraz momenty – były cztery – gdy dowiedział się, że to o nim, jako o najlepszym, zostanie wysłany meldunek. W tym kalejdoskopie wspomnień pominął te, gdy naciągał i kłamał. Pamiętał o tym, ale to było niewiele – nic – w porównaniu z całym szlakiem wojennym, który w chwale przeszedł raz jeszcze w pamięci. Uczcił to porcją koniaku. Wydobyć z serwantki nowej butelki wymagało od siedemdziesięciosześcioletniego pana ze złamaną nogą wytrwałości. Ale przecież ćwiczył ją od wczesnych lat żołnierskich.

Późno położył się spać.

Rano, po raz pierwszy od dwóch dni, zdecydował się zjechać przy pomocy pielęgniarki na śniadanie. Przywitano go serdecznie, tak jak i on przywitał wszystkich. Podczas posiłku odpowiadał, jak się czuje, żartował, komplementował, trochę się przekomarzał. Na dole został do południa, wdając się w rozmowę z zaprzyjaźnionym mężczyzną, który mieszkał w drugim skrzydle pałacu. Na obiad wrócił jednak do siebie. Podano mu do pokoju. Zjadł i oczekiwał wizyty Justyny Fleischer. Nie widzieli się od wczoraj.

Przyszła, tak jak mówiła. Na srebrnej tacy przyniosła lekarstwa oraz zwyczajową porcję owoców i słodczy.

Wydawało mu się, że wygląda na zmęczoną.

– Wręcz przeciwnie, panie Sonnenberg. Po raz pierwszy od dawna zasnęłam. Zepsuł mi się budzik. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. W pośpiechu nie miałam czasu umyć włosów, dlatego tak wyglądam. Jest pan spostrzegawczy i miły. Nikt dzisiaj poza panem nie zapytał mnie o samopoczucie. A panu jak się spało?

– Dziękuję – odpowiedział beznamiętnie. – Powinienem tak sypiać każdą noc.

– To dobrze, obawiałam się, że może pan... – powiedziała zdejmując owoce z tacy.

– Naprawdę? – przerwał. – Chcesz powiedzieć, że po tym, jak tu przysłaś i obraziłaś mnie, mówiąc co powiedzieli, co zmyślili o mnie ci – skrzywił się z pogardą – Budenmaier i Folc, obawiałaś się o mnie? Jesteś najbardziej obłudną osobą w tym pałacu. Może dlatego chcesz słuchać „Prawdy i Męstwa”.

– Może, panie Sonnenberg. Może jesteśmy sobie równi. Tylko pan o tym nie wie. Może dlatego chcę słuchać – spojrzała na zegarek. – Pora na lekarstwa, panie Adrianie. Ma pan czym popić, czy przynieść coś z kuchni?

– Zrób mi herbatę. Nie mogę uwierzyć, że ci dwaj zdrajcy mogli nakłamać takie rzeczy – dodał, gdy poszła wstawić wodę. – Wszystko, co działo się na froncie w Waffen - SS objęte jest tajemnicą. Każdy z nas to wie. Oprócz tych dwóch. Przede wszystkim honor i dane słowo – podniósł głos.

– Panie Sonnenberg, nie wiem, czy nie kłamię. Pan tak twierdzi.

– Oooo. Śmiesz podważać to, co mówię? Skoro wiesz, że walczyłem w SS i byłem na froncie, cztery razy dostałem wyróżnienie w „Prawdzie i Męstwie”, o czym pewnie nie wiesz, bo ci dwaj nie powiedzieli, to nie masz prawa mi nie wierzyć. Rozumiesz? Jestem niemieckim żołnierzem. Nie cywilem, który dostał się do wojska przez przypadek i opowiada bzdury dla chwili sławy, której nie znał wcześniej, albo może jeszcze gorzej, dla pieniędzy. Co? Płacisz im?

– Nie. Nie płacę. Mówiłam już panu, że nie mogę w ogóle mówić na ten temat. Włożyła torebkę z herbatą do filiżanki.

– Nie zależy mi na tym. To nie są żołnierze – machnął ręką. – Opowiem ci, jak walczyli żołnierze. Sama chciałaś.

– Tak, panie Adrianie. Czekam na to. Proszę opowiadać najlepsze historie. Te cztery, którymi pan wygrał oczywiście też, ale inne również. A może – zastanowiła się, gdy wyszła z kuchni – umówimy się, że będzie opowiadał pan także historie innych? Gdyby zabrakło panu własnych, wartych przypomnienia. Te, które pan wybierze – zaproponowała.

Sonnenberg poczerwieniał. Gdy się opanował, powiedział: – Możesz mnie szantażować, wredna pielęgniarko, ambasadą Izraela. Możesz także mówić, co nakłámali ci dwaj śmiecie. Ale żądam od ciebie szacunku. Nie muszę opowiadać historii innych. Mam wystarczająco dużo własnych. Nie muszę się nikim wysługiwać. Zapamiętaj to sobie.

– Nie chciałam pana urazić. Podjechać z panem do stołu?

– Sam podjadę. Zapamiętaj, co ci powiedziałem – podtoczył wózek do stołu. – Do diabła, nigdy wcześniej nie przypuszczałbym, że możesz być zdolna do takich rzeczy.

– Panie Sonnenberg, przepraszam, chciałam dobrze.

Postawiła herbatę obok niego.

– Nie o to mi chodzi. Nawet nie wiesz, o co mi chodzi – zrezygnowany opuścił głowę. – Gdzie te lekarstwa? Daj je i idź.

Wyjęła pudełeczko z kieszeni.

– Proszę dać rękę – wysypała tabletki na kościstą dłoń. – Jaki owoc pan zje? Są pomarańcze...

– Pomarańczę.

Podeszła do szafki i wzięła owoc.

– Przygotował pan jakąś krwawą opowieść na dziś?

– Tak. Daj mi pomarańczę i wynoś się już.

Pielęgniarka obrała owoc. Otworzyła szafkę pod zlewem, wyrzuciła skórki. Podzieliła go na części i położyła na talerzyku. Zaniósła Sonnenbergowi.

– Proszę. Mam nadzieję, że wieczorem poprawi pan sobie humor. Niech pan się nie przejmuję tym, co mówili Budenmaier i...

– Wynos się i przyjdź wieczorem.

Rozejrzała się po pokoju. Zabrała tacę i schowała pudełko z lekarami.

– Do widzenia panie Adrianie – powiedziała przy drzwiach.

– Pamiętaj co ci powiedziałem.

Kilkanaście minut po jej wyjściu uspokoił się. Nie rozpamiętywał wizyty, którą mu złożyła. Czekał, aż przyjdzie wieczór.

Kolację przyniosła ta sama pielęgniarzka, co poprzedniego dnia. Zjadł, ale zakrztusił się. Ostrożnie klepała go po plecach, co przyniosło skutek. Na koniec poprosił, by podała mu z szafki coś słodkiego na deser. Pogryzając kakaowe wafle czekał na Justynę Fleischer.

Przyszła punktualnie o dwudziestą. Przyniosła butelkę koniaku, na której widok cynicznie się uśmiechnął.

– To na zachętę, czy na podziękowanie? Naprawdę jesteś obłudna. Miałem rację. Chcesz mnie upić, byłego esesmana, i posłuchać prawdziwych historii? Tak myślisz? Wszystkie będą prawdziwe.

– Schować ją do serwantki czy postawić na stole, panie Adrianie?

– Postaw. W tamtej butelce jest prawie na dzień, też możesz ją podać. Napijesz się?

– Dziękuję, nie piję – podeszła do szklanych drzwi serwantki.

– Nie wierzę ci, bo jesteś obłudna, fałszywa. I zła.

– Panie Adrianie, piję bardzo rzadko. Przeważnie przy okazji świąt – wyjaśniła wyjmując butelkę.

– Miałem rację. Zestaw mnie na fotel. Ty siadaj na kanapie.

Postawiła na stole resztki koniaku obok nowego. Nalała Sonnenbergowi. Podjechała wózkiem do fotela, pomogła staremu przesiąść się na niego i usiadła, gdzie chciał.

– Skąd dowiedziałas się o „Prawdzie i Męstwie”?

– Nie pamiętam. Ale to nie jest tajemna wiedza.

– Wiem, a powinna. Staraliśmy się o tym nie mówić. Jak widać, nie wszyscy.

Wziął szklankę i napił się.

– To były dawne czasy. Wszyscy wierzyliśmy Wodzowi. Wierzyliśmy w narodowy socjalizm, naszą rasę, naszą rację. Niewiele się zmieniło i niewiele powinno się zmienić. Wojny trzeba prowadzić. Trzeba je wygrywać. Niemcy to robą – wyjaśnił. – Choć myślę, że w 1939 chcieliśmy osiągnąć za wiele na raz. Należy jednak walczyć i wierzyć – kontynuował wywód. – „Prawda i Męstwo” to była mądra gra, w sam raz na wojnę. Sprawdzała się. To był pomysł, żeby wspólnie się motywować do bycia skuteczniejszym niż przeciwnik. Pomagała. Każdy zdawał relację, ilu zabił, w jaki sposób, czego nie zrobił, co zrobi lepiej, bez zawahania, tak jak nas uczono. Najlepsi wygrywali. Informacja szła do dowództwa, to wiesz.

Zrobił przerwę. Napił się.

– Każdy żołnierz się starał. Ja także. O to chodziło, i po to była gra. Było dużo sytuacji, bardzo dużo, różnych. Żadnej nie żałuję. Nigdy nie uciekłem przed nikim. Nie podnosiłem rąk do góry, ani nie odwróciłem się do nikogo plecami. Na nikogo z kompanii nie donosiłem. Kłamstwem brzydzę się do dzisiaj – spojrzał na nią dając do zrozumienia, co ma na myśli.

– Wierzę panu.

– Wiele rzeczy, które o nas powiedziano to mity. Wiem, że także dzięki grze. Ale graliśmy i walczyliśmy dla Niemiec. Tylko to się liczy. Musisz o tym pamiętać. Jesteś patriotką?

– Pan uważa, że nie?

– Myślę, że nie wiesz, kiedy rodzi się patriotyzm. Kiedy udowadnia się go każdego dnia, narażając życie z daleka od domu. W głodzie i mrozie. Chorobie albo piekielnym upale. Tak rodzi się i sprawdza patriotyzm. Ludzi takich jak ja trzeba szanować. Dawać za przykład.

– Pracował pan też w obozach, panie Adrianie. Tam na szczęście było lepiej i źle.

– Nie pracowałem, tylko służyłem – poprawił ją. – Gdy kochasz kraj możesz dla niego być wszędzie. Nie ma znaczenia gdzie. W maszynie potrzebny każdy element, nawet drobny. Wtedy działa. To nie było łatwe zadanie. Kto tam nie był, nie wie, co mówię.

– Niech pan już coś opowie, proszę.

– Tak ci się spieszy? Lubisz takie historie? Nie wierzę. Co za wredna suka – westchnął. – Może polecisz jednak do żydowskiej ambasady i wyśpiewasz wszystko, co ci powiem? Hmm? Albo do tego Wiesenthala, który łapie nie tych co trzeba, zamiast Żydów – wziął kawałek pomarańczy i powoli wkładał do ust.

– Dlaczego nie wierzy mi pan? – spokojnie spytała. – W przeciwnym wypadku, czy przyszedłbym do pana i rozmawialibyśmy o grze? Czy, gdybym była wredną suką, uwierzyłabym w to, co mówili Budenmaier i Floc? Nie. Chcę pana posłuchać, bo w ich wspomnieniach nie wszystko do siebie pasuje – wyjaśniła. – Zawarliśmy umowę i jej dotrzymam. Zobacz pan. Proszę się napić i niech pan mówi. Miał pan czas, żeby się przygotować.

Sonnenberg stracił pewność siebie co do intencji pielęgniarki. Przyznał jej jednak rację. Mogła zgłosić go od razu do tego Żyda albo ich ambasady. Przełknął ostatni kawałek pomarańczy i zaczął mówić:

– Więc chcesz posłuchać, niepozorna pielęgniarko Justyno Fleischer, jak żołnierze Waffen - SS grali w „Prawdę i Męstwo”. Zdradzić ci ze szczegółami najlepsze wieczory? Skoro prosisz mnie o to i szantażujesz. Tak, mam dla ciebie wspomnienie, jak byliśmy w Krakowie. To miasto w Polsce, na południu. Na wiosnę tysiąc dziewięćset czterdziestego roku zajęliśmy zamek. Królowie polscy w nim mieszkali... Roztaczał się z niego ładny widok na rzekę i miasto. Stacjonowaliśmy tam w wydzielonej już naszej części. W pozostałych budynkach mieszkali jeszcze Polacy. Gdy przyszedł rozkaz, żeby rekwirować, to znaczy pakować według spisu i wywozić na dworzec wyposażenie, zaczęliśmy to robić. Zajęło to kilka tygodni. Wszystko trzeba było oznaczyć, poseregować, zapakować. Było tego dużo. Wzięliśmy prawie wszystko. Polacy próbowali ukryć część rzeczy, starali się opóźnić wydanie niektórych. Z tego powodu trwało to dłużej niż dowództwo zakładało. Któregoś dnia zdejmowaliśmy ze ścian obrazy, nosiliśmy do sali i odpowiednio opisane szykowaliśmy do wysłania. Pejzaże, martwa natura, oczywiście portrety. Piękne kolekcje. Te niezapakowane stały oparte o ścianę. To była wielka sala. Tak na oko było ich

kilkadziesiąt, wszędzie dookoła nas. Zaczęliśmy żartować z aktów. Pamiętam do dziś, że ten, od którego zaczęliśmy, to była leżąca na kanapie na boku naga kobieta, plecami do nas. Była gruba. Widzieliśmy tył jej głowy z krótkimi, kręconymi, ciemnymi włosami. Bardzo dobrze pamiętam ten obraz. Kanapa była zgniłozielona i czarne tło. To chyba mógł być Rubens. Śmiałyśmy się z tej kobiety, później z innych. Praca szła bez pośpiechu, ale sprawnie. Po obiedzie – przerwał i sięgnął po koniak – po obiedzie żartowaliśmy dalej. Okazało się że jeden z naszych, Otto Kaminski, fajny chłopak, miał imieniny. Dowódca się zgodził, żeby przynieść z kantyny cztery butelki wódki. Pracowało nas kilkunastu. Myślę, że około piętnastu. Przed południem było nas więcej, ale trzech oddelegowano zaraz po obiedzie. Wypiliśmy toast z dowódcą, który popilnował nas jeszcze godzinę, a później pojechał do centrali. Kaminski to był wesoły chłopak. Lubili go wszyscy. Przeżył wojnę, nawet nie był ranny. Zaproponował, że dokupi jeszcze parę butelek. Poszło z nim paru chłopaków. Przynieśli dziesięć butelek i kilka win. Upiliśmy się. Przestaliśmy pakować. Nie oznaczaliśmy obrazów w ogóle, wiedzieliśmy, że pomylimy się na pewno. Zrobiło się głośno, leciały dowcipy. Franz Wünsche, narwaniec, ale odważny jak mało kto, chciał strzelać przez okno. Śmiałyśmy się z tych aktów cały czas. Ktoś przypomniał sobie, że w pobliżu jest żeńska szkoła, a my potrzebujemy pomocy do pakowania. Kilku najbardziej trzeźwych chłopaków poszło i przyprowadziło w szeregu pod rozkazem, dwanaście dziewczyn. Wyglądały na czternaście, piętnaście lat. Nie chciały pić. Były wystraszone. Stwierdziliśmy, że będą nam pozowały. Jedna zaczęła uciekać, niektóre płakały, inne broniły się. Użyliśmy siły. Byliśmy pijani i drażniły nas. Chcieliśmy się bawić, a one ścisnęły się w kupę jak stado – popatrzył na pielęgniarkę, upewniając się, czy chce słuchać dalej. Nie zobaczył dezaprobaty, więc kontynuował: – Rozebraliśmy je i przymierzaliśmy do aktów na obrazach. Rozumiesz?

– Zgwałciliście je?

– Tak jak ty o tym myślisz, tak. W pewnym sensie. Musieliśmy. Nie chciały wtedy, pamiętam, robić tego, co chcieliśmy.

Pielęgniarka nie wyglądała na zaskoczoną. Zdziwiła tym Sonnenberga.

– Zgwałciliście je raz, czy więcej razy? Wszyscy? Jak to robiliście?

Stary poczuł się zakłopotany. Nie pamiętał, żeby opowiadali ten fragment w „Prawdzie i Męstwie”.

Nie chciał wspominać. Jednak powiedzenie tego za chwilę – zgodnie z umową, o czym mu przypomniała – nie przyszło mu z wielkim trudem.

– Tak, po kilka razy. Byliśmy daleko od domu. Byliśmy pijani. To były Polki.

– Nie lubię Polek. Są głupie i brudne. Mam o nich takie samo zdanie, jak pan, panie Adrianie.

Napił się koniaku. Zjadł pomarańczę i przerwał ciszę.

– Spotkałem wiele Polek na wojnie. Były też ładne wśród nich – ocenił bez emocji. – Ale wszystkie były zacofane. Czasami nawet dzikie. Jak te młode w Krakowie. Takie są. Niewyedukowane w ogóle.

– Co się stało z nimi później?

– Zlikwidowaliśmy je. Wzięliśmy ciężarówkę z zamku i pojechaliśmy do lasu.

Justyna Fleischer kiwnęła głową.

– To rzeczywiście dobra opowieść. Zgłosiliście ją do „Prawdy i Męstwa”?

– Tak, ale jako dodatek. To nie była walka. Rozumiesz? Polacy – dodał – robili później akcje odwetowe. Zabili kilku naszych. Szybko ich jednak spacyfikowaliśmy.

– Czy Budenmaier i Floc byli z panem w Krakowie?

Obruszył się. Spojrzał na nią z wyrzutem.

– Nie. Na szczęście spotkaliśmy się dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, i szkoda, że w ogóle. Kiedy ja walczyłem, oni uczyli się dopiero teorii. Kłamcy.

– Nie wracajmy na razie do tego – wstała. – Panie Adrianie, jeżeli następne opowieści będą nie gorsze, o czym jestem przekonana, to przypomni pan wszystkim, jaka była prawda. I przeżyje ponownie zwycięskie chwile.

– Pamiętam, że jesteś wredna – powiedział, nie dając nabrać się na komplementy.

– Jak pan chce. Ale lepiej być znowu żołnierzem, niż być posądzonym o konfabulację.

– Jesteś bezczelna. Mówię wszystko, jak było.

– Chcę tylko, żeby wywiązał się pan z umowy, udowadniając przy okazji panom Flocowi i Budenmaierowi...

– Nie przypominaj mi ich nazwisk – przerwał poirytowany.

– Muszę już iść. Zrobiło się późno. Do zobaczenia jutro – pożegnała się niespodziewanie.

Do domu wróciła przedostatnim autobusem. Była wstrząśnięta. Wierzyła jednak, że droga, którą obrała, przyniesie oczekiwany efekt.

Stary po jej wyjściu wypił kolejny kieliszek koniaku, i następny. Nie spodziewał się, że wieczór potoczy się w taki sposób. Nie miał w pamięci żadnych luk, chociaż było to tyle lat temu. Opowiadał płynnie, bez skrępowania. Pielęgniarka była spokojną słuchaczką. Zobacz, jak będzie wyglądało kolejne spotkanie. Na razie znowu się napił. Za Niemcy. Za prawdziwe Niemcy.

Rano, gdy się obudził, był w dobrym nastroju. Postanowił zjechać na śniadanie. W windzie dokonał ostatecznego wyboru historii, którą wieczorem opowie. Pielęgniarkę zobaczył po posiłku, gdy jechał do patio posiedzieć wśród egzotycznej zieleni mającej korzenie w olbrzymich glinianych donicach. Chciał popatrzeć na park przykryty zimową aurą i powspominać.

Stała w głębi korytarza. Rozmawiała z inną pielęgniarką. Wyglądała, jakby wydawała jakieś polecenie albo tłumaczyła coś. Zauważyła go i pomachała. Odmachał jej. Pomyślał, że może nie jest tak wredna. Może rzeczywiście chce go posłuchać. Może miała kogoś w rodzinie, kto walczył albo zginął na wojnie i chce poznać, jak było naprawdę. Był ciekawy, jak będzie się zachowywała. Poprzedni wieczór zaskoczył go pozytywnie. Chociaż nie ufał jej nadal.

Popołudnie spędził oglądając w telewizji biegi narciarskie ze strzelaniem do tarczy. Lubił ten sport. Mieli go w wojsku na szkoleniach. Pamiętał niezdarne początki, później natomiast coraz lepsze wyniki. Popijał pszeniczne

piwo. Przed dziewiętnastą transmisja przestała go interesować. Czekał na kolację, którą jak się spodziewał, miała przynieść Justyna Fleischer. Kilka minut później niż zwykle, ktoś zapukał. Zdziwiony zobaczył niską, przysadzistą Sabinę, najstarszą z pielęgniarek, która niedługo odchodzi na emeryturę. Jedną ręką pchała wózek, na którym była kolacja, drugą przytrzymywała drzwi.

– Dzień dobry. Myślałem, że będzie dzisiaj pani Justyna.

– Nie, panie Adrianie. Dzisiaj przecież ja mam dyżur. Dzień dobry.

– Musiałem pomylić dni. Ale to nie ma znaczenia. Stary już jestem. Postaw tam na stole. Przynieś mi później jeszcze piwo.

– Dobrze, panie Adrianie.

Postawiła tacę we wskazanym miejscu. Spojrzała na pokój. Zapytała Sonnenberga, czy czegoś nie potrzebuje. Zaprzeczył. Dopytała, czy ma posłać łóżko. Także podziękował. Obiecała, że piwo doniesie za pół godziny. Wyszła zabierając wózek.

Patrzył za nią lekko zdenerwowany. Zastanawiał się, czy ta Fleisher zapomniiała, czy próbuje zaskoczyć go jakimś nieprzewidzianym pomysłem. Czy coś planuje? Jak daleko może się posunąć? Nie wiedział. Był zły, bo złamała ustalenie. Umówili się, że będzie u niego, a on opowie o grze, tak chciała. Miała tylko przychodzić i słuchać, groziła przecież szantażem.

Postanowił jednak nie zajmować się tym dłużej. Może wszystko skończy się tak niespodziewanie, jak się zaczęło. Poczeka do następnego dnia. Choć czuł, że żałowałby, gdyby tak się stało.

Spojrzał na tacę z kolacją. Zjadł łososia, cykorię i kawałek pleśniowego sera. Przegryzł dwoma kromkami chleba. Gdy skończył chwycił wózek i przyciągnął do fotela. Ostrożnie przesiadł się na niego i zgłosił telewizor. Podjechał pod serwantkę. Wyjął koniak i kieliszek. Przy stole nalał sobie porcję i zaczął bez zainteresowania oglądać jakiś wywiad. Po kilkunastu minutach usłyszał pukanie. Zaprosił Sabinę do środka. Chociaż zamówił piwo, stracił na nie ochotę.

– Dzień dobry panie Adrianie – usłyszał.

– O, przyszłaś? Dlaczego nie było cię wcześniej?

– Nie mogłam. Byłam zajęta. Jutro przyjmujemy nową pacjentkę. Po obiedzie przyjechała rodzina. Pokazywałam im pałac, załatwialiśmy formalności. Sabina przekazała mi, że życzy pan sobie piwo. Proszę. Wstawić do lodówki?

– Tak. Myślałem, że będziesz przychodziła w porze kolacji?

– To zależy od obowiązków, panie Adrianie.

Wróciła do pokoju.

– Zjadł pan? Sprzątnąć?

– Tak, zabierz to. Czekałem na ciebie – odwrócił się z wózkiem, żeby ją widzieć.

– Wiem, panie Adrianie, przecież się umówiliśmy. Domyślałam się, że będzie pan czekał.

– O której będziesz do mnie przychodziła? – chwycił kieliszek z koniakiem.

– Panie Adrianie, na wszystko, co dobre trzeba poczekać. Ja też muszę czekać na pana opowieści. Moje przyjsia zależą od obowiązków – wyjaśniła.

– Tak jak mówiłam. Ale nie będę później niż o dwudziestej, żeby pana nie przemęczać.

Skrzywił się w uśmiechu.

– Jesteś wredna, wystarczy cię posłuchać.

– Przekona się pan, że nie. Co przygotował pan na dzisiejszy wieczór? – podeszła do kanapy.

– Nic.

– Szkoda. Dlaczego? Przecież wiedział pan, że będę czekała na pana wspomnienia. Miał pan opowiedzieć jakąś nagrodzoną historię. Nie chce pan?

– Nie sądziłem, że dzień po dniu będziesz chciała słuchać SS-mana – skłamał.

– Nie jest pan zwykłym SS-manem, ale nagradzanym cztery razy w „Prawdzie i Męstwie” – przypomniła. – Kto ma mi opowiadać i przypominać jak było, jak nie pan?

Sonnenberg nie odzywał się. Zastanawiał się, czy pielęgniarka mówi prawdę. Gdy przypominał sobie poprzedni wieczór stwierdził, że to możliwe.

Wstała.

– Trudno, panie Adrianie. Zmienił pan zdanie, no cóż. Idę w takim razie. Mam nadzieję, że spotkam kiedyś w tym pałacu patriotę, który nie boi się mówić o tym, co zrobił. Budenmaier i Floc mieli chyba rację. Żaden z nich nie ma oporów, takich jak pan.

– Milcz i siadaj! – rozkazał podniesionym głosem. – Nie mów przy mnie tych nazwisk. Powtarzam! Chciałem zobaczyć, czy naprawdę chcesz mnie słuchać. Mam prawo cię sprawdzić. To są historie, które znali tylko żołnierze. Nikt więcej – napił się koniaku. – Opowiem ci, jak zdobyłem nagrodę.

– W Polsce – zaczął, nie czekając na reakcję – byliśmy dwa i pół roku. Mieliśmy różne zadania. W czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku przerzucono nas na wschód. Jest tam takie miasto Lublin. Stacjonowaliśmy tam i wykonywaliśmy rutynowe rozkazy. Głównie wywoziliśmy Żydów. Bliżko był obóz w Majdanku, w którym później służyłem – wtrącił. – Pacyfikowaliśmy wsie, walczyliśmy z partyzantką – wyliczał. – Na początku lipca dostaliśmy rozkaz zdobycia szpitala psychiatrycznego, w którym ukryły się dwa oddziały Polaków. Cały teren to było zgromadzenie dwupiętrowych, wolnostojących budynków. W każdym po kilkudziesięciu chorych. W sumie naliczyliśmy ich później ponad sześciuset. Do tego dochodzili żołnierze. Walczyliśmy cztery dni. Nie spałem prawie wcale, tylko gdzieś chwilę na siedząco przez cały ten czas. Dowódca widział, że daję z siebie wszystko. Na pewno zabiłem ośmiu. Ilu raniłem, tego nie liczyłem. Ostatniego dnia został nam jeden pawilon. Poddali się. Wywiesili białą flagę. Powiedziałem, że nie wiadomo, czy to nie jest podstęp, czy nie zaminowali budynku. Uważałem, że skoro dostaliśmy rozkaz zdobycia i realizowaliśmy go cztery dni, to nie należy przestrzegać białej flagi. Tym bardziej, że wywiesili ją na koniec, zamiast walczyć do ostatniego naboju. Dowódca zgodził się mną. Weszliśmy do środka udając, że przyjmujemy poddanie się. Roilo się tam od wariatów. Nie uwierzysz. To nie jest widok, który mogę i mogłem wytrzymać – napił się koniaku i kontynuował. – Miałem brata, który był chory. Miał taką chorobę jak oni. Był szalony. Matka nie mogła sobie z nim poradzić. Nie

znosiłem go – powiedział. – Oddała go do szpitala i tam odwiedzała. Ja nie. Kiedy dowiedziałem się, że mamy zdobywać szpital, a później, gdy wszedłem i zobaczyłem ich wszystkich żywych, dostałem jakiegoś wstrętu. Byli odrażający. Polacy zebrali się na pierwszym piętrze. Kiedy stawialiśmy ich w szeregu i rekwirowaliśmy broń, jeden chory dotknął mnie w ramię. Uderzyłem go kolbą. Pozostali zaczęli wtedy wrzeszczeć i biegać. Zrobiło się niebezpiecznie. Polacy rzucili się do zarekwirowanej broni. Zaczęliśmy strzelać. Ci, którzy nie zdali uzbrojenia otworzyli do nas ogień. Ranili mnie w prawy bark i płuco, ale zabiliśmy ich szybko. Później zajęliśmy się tymi wariatami. Zastrzeliłem chyba z dziesięciu. Wódz miał rację – spojrzał z przekonaniem. – Umysłowo chorzy są bezwartościowi. Nie wspominając o pieniądzach, które płaci się na nich. Nie hodujesz zwierząt, jeśli ich mięsa nie jadasz. Znasz to – zrobił dłuższą pauzę. Napił się. – To była moja pierwsza gra, za którą dostałem wyróżnienie. Informację oczywiście wysłali do centrali.

Siedziała spokojnie. Jakby opowieść nie zrobiła na niej wrażenia.

– Czy gdyby był pan umysłowo chory, chciałby pan, żebym zajmowała się nim?

– Nie – zaprzeczył zdecydowanie. – Na szczęście nie jestem. Ale gdybym zwariował, masz mnie zastrzelić albo zabić w inny sposób.

– Wie pan, co dzieje się z pana bratem, żyje?

– Nie wiem. Do niczego ta wiedza nie jest mi potrzebna. Podejrzewam, że nie żyje. Wariaci żyją krócej.

– Dobrze, że pan nie zwariował po tym, co zobaczył. To była dobra opowieść. Gratuluję – wstała. – Ale muszę już iść, panie Adrianie, mam jeszcze obowiązki. Dziękuję i dobranoc. Niech pan walczy we wspomnieniach – motywowała go. – Ma pan to we krwi.

– Ty cyniczna, nieprzewidywalna pielęgniaro – pożegnał ją.

– Do jutra. Będę o dwudziestej.

Gdy wyszła, siedział w bezruchu jakiś czas. W rozmyślaniach pomagał sobie kolejnym kieliszkiem koniaku. Zaczynał mieć przeczucie, że sytuacja, w której się znalazł, nie skończy się tak źle, jak się obawiał. Pielęgniarka

nigdzie go nie zgłosi. Wręcz odwrotnie, w pewnych momentach wydawała się zgadzać z nim, popierała go. Czyżby na stare lata spotkało go trochę szczęścia? Żołnierza Waffen - SS, który walczył nie po to, by zakopano go w Polsce, Rosji, czy na Węgrzech. Nie po to, by w Niemczech szerzyła się żydowska lichwa i zapanował sowiecki komunizm. Wszystkie tamte problemy są aktualne. Westchnął podpity: – Nic się nie zmieniło. Może trochę zaraz po wojnie. Teraz wszystko wraca. Trzeba o tym mówić. Dobrze się stało, że przyszła ta pielęgniarka.

Pooglądał telewizję, nie skupiając się na programie. Rozmyślał cały czas. Zajęły go wspomnienia. Poszedł spać przed północą.

Następnego dnia, podczas obiadu, zobaczył nową pensjonariuszkę. Przyjechała na wózku elektrycznym. Oceniał, że była po osiemdziesiątce. Szczupła, w białym sweterku zapinanym na guziki. Siwe włosy spięła w kok. Miała niewielkie kolczyki, trochę za duży nos, twarz wydawała się inteligentna. Nie rozmawiali. Siedział przy innym stoliku, ale przysłuchiwał się, co mówiła. Odniósł wrażenie, że jest pewna siebie, obyta w świecie i całkiem wygadana. Jej mąż nie żyje, przez wiele lat był dyrektorem do spraw rozwoju w firmie przemysłu ciężkiego – nie usłyszał jakiej – odpowiadał za rynki Bliskiego Wschodu. Kobieta nie przypadła mu do gustu. Był to pierwszy taki przypadek, odkąd mieszkał w pałacu. Miała na imię Eleonora, na samą myśl o tym chciało mu się śmiać. Jednak stwierdził, że pasowało do niej. Nie mogła mieć innego, bo wprowadzałyby w błąd. Imiona zawsze nadają się do osobowości i przeważnie są trafione, chociaż nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, odbywa się to przecież zaraz po urodzeniu. Ten przypadek to potwierdzał. Wieczorem zapyta o nią pielęgniarkę Fleischer.

Przyszła kilka minut przed dwudziestą. Przyniosła ze sobą butelkę koniaku.

– Chcesz mnie upić i wyciągnąć jeszcze jakieś informacje?

– Panie Adrianie, nie mogę pana upić. Każdy upija się sam. Przyniosłam nową butelkę, ponieważ i tak by pan ją zamówił. A tak problem mamy z głową. W starej niewiele wczoraj zostało.

Postawiła ją na stole i poszła do serwantki po kieliszek i prawie pustą butelkę.

– Widzi pan? – pokazała.

Sonnenberg spojrzał. Resztki alkoholu ledwo przykrywały dno. Przypominał sobie, że poprzedniego dnia po jej wyjściu siedział w fotelu i wypił jeszcze dwa lub trzy kieliszki. Miała rację, i tak by zamówił. Ale zapomniał.

– Uhm – przyznał jej rację. – Jesteś taka troskliwa.

– Panie Adrianie, proszę bez ironii – nalała resztkę do kieliszka.

– Wiem, przecież za to ci płacą. Mam do ciebie pytanie – dodał po chwili.

– Słucham.

– Czy ta nowa pensjonariuszka, jak się nazywa? – udał, że nie wie.

– Eleonora Schmikiel. Chce pan się przenieść na wózek?

– Nie. Spróbuj przekręcić fotel do kanapy, chociaż trochę. Od siedzenia na wózku boli mnie już tyłek. Czy ona jest...? – przerwał i zastanawiał się, czy nie za szybko ją ocenił.

– Pani Adrianie, o co panu chodzi? – przekręciła wózek tak, jak chciał.

– Skąd przyjechała?

– Ostatnio mieszkała u jednego z dzieci. Przywiozła ją córka. Przedtem jakiś czas w Berlinie.

– Czy ona jest...

– Chce mnie pan zapytać, czy jest Żydówką?

– Tak. Czy jest Żydówką? – spojrzał na pielęgniarkę.

– Tego zgodnie z obowiązującym regulaminem nie mogę panu powiedzieć.

– Rozumiem – był niezadowolony. – Nie możecie takich osób przyjmować.

– Panie Adrianie, to zamożna osoba.

– Wszyscy Żydzi to zamożne skurwysyny – wziął kieliszek i napił się.

– Panie Adrianie, nie mogę tego komentować.

– Możesz. I mów do mnie panie Sonnenberg. A nie ciągle panie Adrianie.

– Musi mnie pan zrozumieć, nie na wszystko mam wpływ. Nie możemy wprowadzić segregacji przy przyjęciach.

– Trzeba! Trzeba! Inaczej za tydzień będziemy tu mieli następne pejsy.
– Proszę się nie denerwować. Zmienimy temat. Tak będzie lepiej dla pańskiego zdrowia. Proszę opowiadać. Czekam.

– Możesz mi obrać dwie mandarynki?

– Tak – odpowiedziała wstając. – Chce pan jeszcze coś słodkiego?

– Nie, tylko mandarynki – napił się koniaku. – Powiem ci, jak służyłem w obozie – odezwał się po chwili. – Tam robiliśmy porządek z takimi. Przyjeżdżali wagonami. Ściśnięci jak sardynki. Żadne mądre książki im nie pomogły. Ha – zaśmiał się. – Bo do czego im były potrzebne? Teraz mają państwo.

– Niech pan opowie o tym dzisiaj – przyniosła owoce. – W którym to było obozie?

– Miałem na myśli Treblinkę. Byłem też w Ravensbrück. I w Majdanku, ale bardzo krótko. Stamtąd zabrali mnie na Węgry.

Opowiadał ponad godzinę. Później dopowiedział jeszcze kilka drastycznych zdarzeń, zaspokajając udawaną ciekawość pielęgniarki. Gdy skończył, znowu był żołnierzem.

Następnego dnia, gdy mijał się w holu z Eleonorą Schmikiel nie przywitał się. Zwrócił tym na siebie uwagę rozmawiających nieopodal osób. Zrzuciły to jednak na karb jego zdrowia, a być może i pogody, która czasami ma wpływ na samopoczucie.

Wieczorem opowiedział drugą walkę z „Prawdy i męstwa”, za którą dostał wyróżnienie. Zagłębiał się w ten sposób we wspomnienia, coraz bardziej oddając się emocjom i popijaniu ulubionego alkoholu. Pokłócił się z pielęgniarką. Nazwał ją nic nierozumiejącą, głupią świnią. Nie miała racji mówiąc, że polskich dowódców należało oddać pod sąd, a nie rozstrzelać. Pod koniec wizyty przeprosił ją wprawdzie, ale tylko dlatego, że miała przyjść następnego dnia.

Minęły kolejne dwa dni. Po obiedzie postanowił zostać w sali rekreacyjnej. Nie miał ochoty wracać do siebie. Ktoś z pensjonariuszy włączył telewizor i zainteresował go film wojenny. Zaczął oglądać. Z tyłu słyszał fragmenty rozmowy Żydówki Schmikiel – jak ją nazywał. Drażnił go jej głos. Nie lubił

jej. Miał pretensję do dyrekcji, że jej nie wyrzucili. Najlepiej do getta albo do potrzebnego jak wrzód na dupie państwa Izrael. Nie wiedział i już miał się nie dowiedzieć, że nie była Żydówką, lecz Niemką. Poprosił, żeby zgłoszono telewizor. Film był fabularny o wojnie sowiecko-japońskiej i zdaniem Adriana Sonnenberga było w nim mnóstwo fałszu, szczególnie jeśli chodzi o Rosjan, w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku nazywanych Sowietami. Nikt, kto nie był na wojnie, nie może pokazywać ich w taki sposób. Byli armią biedaków, złodziei, dzikusów i pijaków. Walczył z nimi później. Mieli tylko więcej uzbrojenia. Ale bandą byli tą samą. Nie podobał mu się film. Komentował głośno i denerwował się. Znajomy, który się przysiadł, poprosił, żeby się uspokoił. Mówił, że to amerykańska produkcja dla pieniędzy, dlatego nieprawdziwa. Nie pomogło to wiele. Sonnenberg poprawiał szczegóły i nadal komentował. Przeklął parę razy. Kilka pensjonariuszek wyszło. Jedna powiedziała coś pielęgniarce, która zapytała go, czy wszystko w porządku. Zaskoczona dowiedziała się, że ma przynieść dwa piwa. Kiedy wróciła usprawiedliwił się oglądaniem okropnego, fałszywego filmu. Obiecał, że się poprawi i będzie mówił ciszej. Napił się, a gdy odeszła powiedział: – Hitler miał rację, Peter. Trzeba było wyróżnić ich wszystkich. Czerwoną zarazę. Zbieraninę z pistoletami na sznurkach. Żebyś widział, jak oni wyglądali. Rzucali się na wszystko, co miało wartość, za papierosnicę gotowi byli zabić. Tylko Żydzi byli gorsi. Wojna się nie skończyła. Mówię ci, Peter. To wszystko wraca. Nawet tu przyjechała Żydówka.

Mężczyzna spojrzał na niego i powiedział pojednawczo: – Za bardzo przejmujesz się filmem, Adrian. Wojna była dawno. Na szczęście. Nie ma się co denerwować. Każdy patrzy na nią trochę inaczej. Wiem – upił piwa. Wskazał telewizor. – Jak się skończy, idź do siebie odpocząć. Ja też pójdę się położyć. Szkoda nerwów na stare lata. Warto tu pożyć – rozejrzał się.

– Przejmuję się. A ty nie? – Sonnenberg zapytał zaczepnie. – Nie obchodzi cię, co się dzieje? Co? Ja myślę o moim kraju.

– Każdy o nim myśli. Zapewniam cię. Ja też.

– I dlatego każesz mi iść na górę, jak mówię, co złego z nim się dzieje.

– Adrian, nigdzie nie każę ci iść. Po co masz się denerwować? To tylko film.

– Ja nie o tym mówię – kłóliwie zaprzeczył. – Nie zrozumiałeś mnie? Mówisz, że ci zależy, a udajesz, że nie widzisz tego wszystkiego dookoła. O to mi chodzi.

– Adrian, jadę do siebie. Masz dziś zły dzień.

– Tak twierdzisz. Na to najłatwiej rzucić – lekceważąco powiedział. – A co robiłeś w czasie wojny?

– Już ci mówiłem, że jestem inżynierem i pracowałem jako konstruktor w... – nie zdążył dokończyć.

– Z twoimi przekonaniem. Ciekawe, co robiłeś z tą wiedzą?

Mężczyzna wstał.

– Moja wiedza pozwoliła budować silniki wysokoprężne – stwierdził próbując opanować nerwy. – A ty strzelałeś do ludzi, jak do kaczek. I nie tylko, bo potem pilnowałeś wkładania ich do pieców. Skończ ten temat. To już nie wróci, na szczęście. A możesz tylko kogoś obrazić, tak jak mnie. Idę.

– Idź! – napił się piwa. – Za takimi jak ty też walczyłem. Nie rozmawiaj z tą Żydówką!

Mężczyzna pokręcił głową z niedowierzaniem i poszedł. Sonnenberg zamówił następne piwo.

Wieczorem zniecierpliwiony oczekiwał na pielęgniarkę. Chciał na początku porozmawiać o tym dziwaku Peterze. Pewnie, gdyby mógł, naopowiadałby jej tyle bajek co Budenmaier i Floc. Tacy jak oni chwalą się właśnie dlatego, że nie mają czym.

Przyszła kilka minut przed czasem. Zapukała i nie czekając na zaproszenie otworzyła drzwi. Zobaczył bukiet białych, kulistych kwiatów. Wyglądała – takie odniósł wrażenie – że przyszła na chwilę. Do chyba granatowych spodni – z miejsca gdzie siedział nie widział dobrze wyprasowanych w kant, założyła ciemny sweter oraz naszyjnik. Zanim zdążyła się przywitać zapytał zaniepokojony: – Nie zostajesz dzisiaj u mnie?

– Dzień dobry, panie Adrianie. Oczywiście, że zostaję. Dlaczego pan pyta?

– Nie masz służbowego stroju. Po co ci te kwiaty?

– Jestem już po dyżurze. Skończyłam rano – położyła mu rękę na ramieniu. – Niech pan się nie martwi. Przyniosłam panu dalie. Piękne prawda? Proszę zobaczyć. W środku kwitną na czerwono, później zmieniają się w białe – odeszła do szafki po wazon.

– Odwróć mnie. Te kwiaty to jakiś symbol? Po co? Ulubione kwiaty żydowskich męczenników? Byłaś już w ambasadzie Izraela? To od nich? Niech stoją. Powiedz im, że bardzo mi się podobają.

Pielęgniarka zaczęła się śmiać. – Widzę, że ma pan dzisiaj dobry humor, ale jest trochę złośliwy. To co, mam im w końcu powiedzieć? – postawiła kwiaty na stole.

– Nie tutaj. Na parapecie.

– Tak dobrze? – przestawiła wazon.

– Może być.

Przekręciła Sonnenberga przodem do kanapy.

– Powiedz im, żeby zabrali stąd swoją koleżankę Eleonorę Schmikiel.

Zaśmiała się znowu.

– Nie wiem, czy to będzie możliwe. Umówiliśmy się, że jak będzie pan opowiadał najlepsze fragmenty z gry to nie pójdę do nich. Niezależnie, czy wierzy mi pan czy nie.

– Nie wierzę. Kobietom nie należy wierzyć.

– Panie Adrianie – strofowała go teatralnie. – Powtarza pan niesprawdzone stereotypy. Czego się pan napije?

– Tego co zwykle. Prosiłem, żebyś nie mówiła do mnie ciągle panie Adrianie. Powiedz mi, dlaczego tu przychodzisz? Po co to robisz?

Odwróciła się zdziwiona. – Mówiłam już panu – odpowiedziała wyjmując butelkę. – Z ciekawości, przekonania. Chcę wiedzieć. Poza tym co innego mówili panowie Budenmaier i Floc. Trudno było mi uwierzyć, że można było tak się... – szukała odpowiedniego słowa.

– Zamknij się! – krzyknął zdenerwowany.

Postawiła alkohol i kieliszek na stole. – To nie moja wina, że opowiadają o panu takie rzeczy. Kłamstwa. Tak pan mówi. Ja panu wierzę. Dlaczego chce

pan w takim razie, żebym o tym nie mówiła? – spojrzała na niego. – Niech mi pan rozkaże, skoro to jest kłamstwo.

– Masz rację – zastanowił się i odpowiedział wdzięczny. – Zamknij się! To rozkaz! – powiedział zdecydowanie i pewnie. – Rozkazuję ci nie otwierać gęby na temat tych dwóch zdrajców!

– Rozumiem, panie Sonnenberg. To rozkaz. Nalać panu?

– Nalej. Pachną te kwiaty?

– Tak, panie Sonnenberg. Bardzo ładnie. Już panu pokazuję – podeszła do parapetu i przyniosła dalie.

Powąchał bez pośpiechu. – Nie lubię, gdy kwiaty pachną mocno. Wręcz śmierdzą. Te nie.

– Ładne są?

– Tak – zgodził się.

– Proszę mi dzisiaj opowiedzieć, jak był pan w Ravensbrück. Nie mówił pan o obozach, a to też ważny temat.

Usiadła na kanapie.

– Dlaczego chcesz Ravensbrück? – zapytał trochę zaskoczony.

– To obóz dla kobiet, poza tym niemiecki. Nie w głupiej Polsce albo gułag rosyjski. Wyobrażam sobie, że żołnierze inaczej tam funkcjonowali. Było tak?

– Na pewno. U nas wszystkich traktowaliśmy, jak nam kazano i na to zasługiwali. Później na Wschodzie to się zmieniło. Było bardzo dużo więźniów – zrobił przerwę, żeby się napić. – Nie byłem długo w Ravensbrück. Tylko trzynaście miesięcy, od grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego do końca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. To był mój pierwszy obóz. Same kobiety. Na początek to w sam raz. Nie był tak duży jak Auschwitz, czy Majdanek, które były jak małe miasta. Później, w ramach reorganizacji, część z nas przewieziono do Polski i włączono do reszty dywizji. W Treblince wiedziałem już jak wszystko działa. Nie miałem żadnych problemów. Cóż mogę powiedzieć? Wspominam go dobrze. Kobiety pracowały. Polki, Niemki, przeważnie komunistki, różne narodowości. Oczywiście Żydówki i Cyganki.

Wyglądał, jakby zastanawiał się, czy opowiadać dalej.

– Graliście wtedy w „Prawdę i męstwo”?

– Nieoficjalnie, bo powstała dla oddziałów bojowych, takim nie byliśmy. Nie mogliśmy jej zgłosić. Chociaż dowództwo domyślało się, że gramy. Podobno ktoś doniósł, ale najwidoczniej przymknęli oko. Większość z nas podejrzewała, że trafi na front i dlatego grała.

– A reszta? Jakie były powody, że graliście, mimo że nie musieliście?

Spojrzał na nią. Nie ufał jej do końca. Powiedział więc: – To była gra. Po prostu gra. Dla wielu z nas.

– Oczywiście, rozumiem – czuła wahanie Sonnenberga. – Wyjątkowa. Miało podobną grę jakieś inne wojsko? Chyba nie.

– Nie. To był nasz pomysł. Taki, jak mówisz, wyjątkowy. Dzięki niemu wiele bitew rozstrzygnęliśmy na korzyść – napił się. – Nikt przed nami nie wpadł na to, że liczą się nie tylko wozy pancerne, armaty i samoloty, ale tak samo ważny jest duch walki. Żołnierz. To wszystko obsługują żołnierze. Od nich zależy, jak wykorzystają sprzęt.

– Ma pan rację – przytaknęła z przekonaniem. Sonnenberg to zauważył. – Niech pan powie, jak graliście w obozie. I uprzedzę pana wątpliwości. Niech pan zapomni, że tu siedzę. Mówiłam, że nie lubię Polek. Gardzę komunistkami i lewackimi terrorystkami. Mam nadzieję, że pan również. Żydówki są mi obojętne – stwierdziła, nawiązując do nowej pensjonariuszki. – Chcę wiedzieć, co się tam działo.

– Jeżeli Żydówki są ci obojętne, to nie powinnaś tu przychodzić. To znaczy, że nie rozumiesz zagrożenia. To nie jest temat, który można lekceważyć. Jak nie, to szkoda mojego czasu. Dolej mi – wskazał szklanekę.

Spełniła polecenie.

– Nie wartościujmy tego. Też za nimi nie przepadam, panie Adrianie. Wie pan o tym. Jednak jedne rzeczy bolą mnie bardziej, drugie mniej. Jak każdego. Chce pan coś jeszcze? Jakiś owoc, może donieść czekolady?

– Nie. Siadaj. Myślisz – zapytał po chwili – że skoro dzielę się z tobą wspomnieniami, opowiadam ci jak graliśmy w „Prawdę i Męstwo”, mówię to wszystko z dumą, jak żołnierz, to miałbym zacząć coś ukrywać

z twojego powodu, bo siedzisz tu teraz? Nie dodawaj sobie zbyt wiele wartości.

– Panie Adrianie, chciałam tylko, żeby nie krępował się pan moją obecnością.

– Jestem u siebie. Nie martw się o mnie.

Wziął szklankę.

– Proszę już mówić – poprosiła.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem o tej Żydówce Schmikiel. I przypomnij mi na koniec, zanim wyjdiesz, żebym zapytał cię o Petera Koellera – wtrącił niespodziewanie. – Miałem z nim dzisiaj dziwną rozmowę.

– Dobrze, panie Sonnenberg.

Poprawił się w fotelu.

– W Ravensbrück graliśmy w dosyć spokojną wersję, w porównaniu z tymi, w których później brałem udział. Wymyśliliśmy, że kobiety to były, hmm – zrobił pauzę i wyjaśnił – żetony. Pilnowaliśmy baraku w ośmioosobowej zmianie. Trzech mężczyzn, cztery kobiety i dowódca, który nie pełnił funkcji wartowniczej. Przeważnie tak byliśmy podzieleni. Jeżeli więźniarek było mniej, to do kobiet nie przydzielano mężczyzn. Ale u nas zawsze było ponad pięćset. Zmienialiśmy się co dwanaście godzin. Graliśmy całą grupą. Podczas gry każdy miał do dyspozycji trzy kobiety. Wybieraliśmy je codziennie. Raz lub dwa razy w tygodniu przychodził transport, więc nie martwiliśmy się, że się ostrzegą. Jako pretekst podawaliśmy badania lekarskie. Nie protestowały – spojrzał na nią, jakby oczekiwał potwierdzenia pomysłu. Kiwnęła głową. – Robiliśmy różne rzeczy. Najczęściej zabawialiśmy się z nimi albo kazaliśmy im się zabawiać się ze sobą. W różnych konfiguracjach.

– Chodzi o seks – upewniła się.

– Tak. Mówiłem, że jeśli chodzi o Ravensbrück to „Prawda” była łagodna. To były wszelkiego rodzaju orgie. Oczywiście najczęściej zmuszaliśmy je, ale niejednokrotnie zdarzało się, że niektóre z nich angażowały się same. Nie sądzę, żeby dziś w domu publicznym, nawet nielegalnym, można było zobaczyć rzeczy, które odbywały się tam.

– Wiedziały, co je czeka, jak wyjdą?

– Większość się domyślała, ale nie chciały wierzyć. I tak by ich to nie omięło. To był obóz – zaznaczył. – Chociaż z tego co wiem, jest grupa, która się uratowała. Niektóre żyją do dziś.

– Co pan robił? Konkretnie.

– Zadajesz mi intymne pytania, o tym nie było mowy – napił się koniaku. Odniosła wrażenie, że nie powiedział tego szczerze, prowokował ją.

– To jest element umowy. Grał pan, panie Adrianie. Poza tym wydaje mi się, że w wielu przypadkach wspomina pan to pozytywnie.

W oczach pojawił mu się delikatny błysk odległych przeżyć.

– Nie przeczę. Wszyscy robiliśmy to samo. Na cokolwiek mieliśmy ochotę. Cokolwiek przyszło do głowy. Wiesz? Zaspokajaliśmy najbardziej wymyślne fantazje. Kiedyś, jak myślałem o tym, to zastanawiałem się, jak człowiekowi mogą przyjść takie rzeczy do głowy. Myślę, że to przez wojnę.

– Tak pan myśli? Miał pan kontakt później z kimś z pana grupy? Dolać panu jeszcze?

– Dolej. Miałem, z dwoma osobami. Naszą trójkę przenieśli z Ravensbrück stosunkowo szybko. Reszta miała niestety procesy po wojnie. Ci, którzy służyli najdłużej.

Pielęgniarka uzupełniła kieliszek. Stary napił się, odchrząknął.

– Panie Adrianie, omija pan cały czas najciekawsze – powiedziała z żalem. – Jakby nie chciał mi pan opowiedzieć. Wie pan, że mam swoje sympatie, poglądy polityczne. Są podobne do pańskich, więc nie ma się czego wstydić. Proszę. Może umówmy się tak, jak pan chce – zaznaczyła – że przyprowadzę tutaj panu naprawdę piękną dziewczynę, która umili panu wieczór. Oczywiście, jak pan wyzdrowieje. Tylko proszę teraz się nie krępować i opowiedzieć mi szczegóły, naprawdę pikantne.

Zaskoczony Sonnenberg wyprostował się.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie, panie Arianie. Nie żartuję. Chcę pana zachęcić. Chcę wiedzieć. Mówiłam to panu od początku.

– Chcesz wiedzieć – powtórzył ironicznie.

– Pan, w przeciwieństwie do mnie, czyli tego co ja wiem o panu, niewiele o mnie wie. Grał pan przecież z kobietami. Czy moja prośba wydaje się panu aż tak dziwna?

Sonnenberg obserwował pielęgniarkę. Po chwili odezwał się:

– Grałem. Jesteś trochę tajemnicza. Czy chcesz taka być? – zapytał bardziej siebie, niż ją. – Zgoda. Zdam się na twój gust. Zobaczmy, co się okaże. Może w takim razie napijesz się ze mną przy takiej okazji?

– Ale niewiele. Mówiłam, że nie piję alkoholu.

Siedziała do późnej godziny, mimo że musiała zamówić taksówkę. Wypiła trzy kieliszki. Była mniej wstawiona niż przypuszczała, czym siebie zaskoczyła. Ostatni raz piła alkohol, wbrew temu co mówiła Sonnenbergowi, przed wakacjami, więc dawno. Udawała jednak podpitą i kokietowała go. Był na rauszu. Zauważyła, że wspomnienia sprawiają mu przyjemność. Był to wynik częstego sięgania po szklankę, którą uzupełniała, zanim poprosił, a być może obietnicy, którą mu złożyła. Powiedział najważniejsze szczegóły, które dały obraz tego, co robił w Ravensbrück. Nie szukał w pamięci. Mówił bez przeszkód, jakby wszystko wydarzyło się niedawno, jakby streszczał ostatnio przeczytaną książkę. Zgodziła się z nim parę razy, przypominając o swoim stosunku do Żydówek i komunistek. Spędzili wieczór, który na pewno spodobał się Sonnenbergowi.

W ciągu miesiąca, gdy odwiedzała starego kilkunastokrotnie wysłuchując „Prawdy i męstwa”, zdjęto mu gips i rozpoczął rehabilitację. W tym czasie jego antysemityzm i nacjonalizm zaczęły się nieprzyjemnie uzewnętrzniać podczas rozmów z pensjonariuszami. Wygłaszał kontrowersyjne, zaskakujące, nielogiczne opinie. Nikt ich nie podzielał. Kilka osób było zbulwersowanych jego poglądami. Nie odzywał się do coraz większej liczby osób, Eleonorę Schmi-kiel ostentacyjne lekceważył. Próbował rozbudzić dyskurs polityczny z tymi, z którymi jeszcze rozmawiał. Nawiazywał do historii, przekonywał. Znajdywał jednak coraz mniej rozmówców. Podczas którejś wizyty Justyna Fleischer zapytała, czy może wywiązać się z obietnicy. Uzgodnili, że będzie to piątek za dwa

tygodnie. Dowiedział się, że dziewczyna ma na imię Barbara. Pielęgniarka nie wiedziała, czy to pseudonim. Dziewczyna ma dziewiętnaście lat, jest studentką.

Spotykał się z Justyną Fleischer jak dotychczas. Opowiadał, wspominał, dyskutował. Często widział w niej sprzymierzeńca. Nie dała się namówić na powtórne wypicie toastu, czego nie mógł odżalować. Jeden z pensjonariuszy złożył na niego skargę, nie przejął się tym. Kierownicze pałacu obiecał zdawkowo, że będzie miał na uwadze przekonania innych i postara się być wyważony w swoich wypowiedziach.

Dziewczyna przyszła z pielęgniarką w piątek, punktualnie o osiemnastej. Nie zszedł tego dnia na kolaję. Przyniesiono mu ją do pokoju. Wykorzystał okazję i przedstawił Barbarę jako kuzynkę. Poprosił salową, aby doniosła dodatkowe nakrycie, ponieważ chciałby z nią zjeść. Wyglądała ponętnie. Była rozmowna, nieskrępowana. Wydawała się kulturalna, czym wzmocniła jego poczucie bezpieczeństwa, bowiem obawiał się trochę spotkania. Od dawna nie korzystał z usług prostytutki, dzieliła ich różnica dwóch pokoleń. Opowiedział jej kilka ostatnich lat z życia, ona zrewanżowała się informacjami o sobie. Namówił ją na kanapkę z dżemem pomarańczowym, nalał szklankę wody gazowanej. Zapytała, czy Sonnenberg może włączyć jakąś płytę. Poprosił za zapominalstwo. Nie miał adapteru, ale włączył radio chwilę szukając na skali audycji muzycznej. Poprosiła, by usiadł na kanapie. Rozpięła guziki bluzki, ukazując fragmenty czarnego koronkowego stanika i piersi. W oczach starego dostrzegła znajomy błysk.

– Panie Adrianie, proszę obrócić się do mnie tyłem.

– O nie, Barbara – oponował. Chciał kontrolować sytuację. Emocje szybko w nim narastały. – Nigdy nie odwracam się tyłem do kobiet. To nieelegancko. Nawet do tak młodych dam, jak ty.

Dziewczyna wstała. Widział, że jest lepsza niż narkotyk, niż modelka na wybiegu. Usiadła obok, podciągając spódnice, by nie krępować ruchów. Położyła mu ręce na ramionach i delikatnie odwróciła, sugerując, co ma robić.

– Zwalniam pana z konwenansów na ten wieczór. Zna pan jeszcze jakieś? – zapytała.

– Oczywiście – kokietował sam siebie. Pod wpływem jej dotyku energia opanowała go od środka. Zaraz będzie podniecony. Stwierdził więc z ulgą: – Ale właśnie zostałem ze wszystkich zwolniony.

Usiadł plecami do niej.

– Jest pan bardzo piękny – komplementowała, masując mu bark, a później przekładając dłonie także i na klatkę piersiową. Uwierzył. – Lubię piękno u mężczyzn.

– Tak kochanie – powiedział bez sensu. – Ale nie wszystko zależy ode mnie – dodał, nie wiedząc o co mu chodzi.

– Proszę się nie martwić. Proszę zdjąć kamizelkę – uspokoiła go. – Pomogę ci – chwyciła za materiał i pociągnęła przez ręce, które podniósł. Ponownie położyła mu dłonie na ramionach i zaczęła stopniowo uciskać je przez koszulę.

– Zaczniemy od masażu. Ale masaż zaczniemy od początku – powiedziała, relaksując mu dłońmi krocze. – Przyjemnie?

– Tak. Już dawno tego nie miałem.

– Niedługo poproszę, żebyś rozebrał się i położył. Na razie tylko w celu kontynuowania masażu.

Później, gdy rozebrał się i spełnił polecenie, pieszczoty, którymi go obdarzyła doprowadziły go na kruchą granicę upojenia. Musiała przestawać. Była w białiznie. Wyglądała seksownie i pięknie. Żadna z kobiet, które miał od najmłodszych lat nie wyglądała, jak ona. Była najlepsza. Nie przypuszczał, że na stare lata spotka go takie przeżycie. Że zaproponuje to pielęgniarka w ośrodku, w którym miał tylko spokojnie doczekać śmierci. Justyna Fleischer – powtórzył sobie. Zmieniała się. Zauważył to, bo spędzali razem dużo wieczorów. Poznała go przez grę, on także dowiedział się o niej sporo. Zgadzała się w wielu sprawach. Czuł do niej sympatię, polubił ją. Szczególnie teraz.

Barbara przeprosiła go na chwilę. Poszła do łazienki. Wstał, żeby przenieść się z kanapy na łóżko, jak proponowała. Położył się, rozmyślając, kiedy przejąć inicjatywę. Chciał sobie na to pozwolić.

Gdy zobaczył dziewczynę usiadł niezdarnie, w pośpiechu.

Ubrana była w pasiata obozową bluzę zapiętą na guzik i ukazującą odsłonięte piersi. Na ramieniu miała opaskę z sześcioramienną gwiazdą. Ze spodni od stroju zostały bardzo krótkie nogawki, a między nimi wycięto otwór pokazujący wygoloną vaginę. Miała bardzo długie nogi. Była w czarnych, niebezpiecznie błyszczących szpilkach.

– Co ty wyprawiasz? Chcesz mnie zdenerwować? Co robisz?

– Chcę ci dać satysfakcję. To prezent od pani Justyny, Adrian. Nie denerwuj się. Jestem dla ciebie. I nie bądź dzisiaj dżentelmenem. Nie zawsze lubię dżentelmenów.

Podeszła do niego. Obróciła się.

– Jak wyglądam? Mam nadzieję, że ci się podobam.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Uklękła przed nim i rozchyliła mu uda.

– Będę dzisiaj obozową dziewczyną. Dla ciebie. Do dyspozycji.

Pochyliła się.

Ponownie był w uniesieniu. Zaproponowała seks. Zgrabnie pozwoliła, by przejął inicjatywę. Przed stosunkiem kazał wypiąć dupę małej Żydóweczce. Był pełen energii, o którą go nie podejrzewała. Podczas zmiany pozycji dominował coraz bardziej. Stawał się wulgarny. Czuł się doskonale. Barbara stękała dając znać, że taki seks sprawia jej przyjemność.

Gdy skończyli, wzięła prysznic i ubrała się. Minęła dwudziesta trzecia. Zadowolony Sonnenberg siedział w fotelu w szlafroku i popijał koniak.

– Musisz mnie jeszcze odwiedzić – powiedział.

– To zależy od pani Justyny – poprawiała dłońmi wilgotne jeszcze włosy.

– Załatwię to z nią. Działasz jak balsam.

– W takim razie czekam na propozycję. Uprzedź mnie dwa tygodnie wcześniej. Może będę musiała się przygotować – wskazała na strój. Spakowała go do reklamówki.

– Na pewno dam znać. Jestem dżentelmenem – miał dobry humor. – To był wspaniały wieczór. Muszę podziękować. Oczywiście tobie, ale też i Justynie – kiwnął głową z uznaniem. – Nie przypuszczałem, że będę mógł się jeszcze tak rozerwać.

Wyszła zostawiając go ze wspomnieniami.

Następnego dnia na korytarzu wymienili z pielęgniarką znaczące spojrzenia. Przyszła wieczorem i przyniosła koniak. Przyznał, że musi odwdziżyć się za pomysł przyjścia Barbary. Odpowiedziała, że wystarczą jej opowieści z „Prawdy i męstwa”. Był zadowolony, że poprosiła go o nie. Nie obawiał się jej. Nie wierzył i nie brał nawet pod uwagę, żeby zgłosiła jego istnienie. Popijał swój ulubiony alkohol. Dołała mu. Zapewnił, że gdyby czegoś potrzebowała, ma się do niego zgłosić. Pod koniec spotkania powiedział to, na czym Justynie Fleischer zależało. Chciałby, żeby Barbara przychodziła do niego co jakiś czas. Poinformowała, że jest to możliwe pod warunkiem, że nadal będzie opowiadał o „Prawdzie i męstwie”. Zgodził się, ponieważ sprawiało mu to przyjemność i zauważył, ile problemów wciąż jest aktualnych. Umówili się na grę w niedzielę na dwudziestą.

W ciągu następnych ośmiu miesięcy wiele zmieniło się w jego życiu. Miał szczęście na stare lata: przychodziła do niego Barbara. Sama albo z Anke. Pielęgniarka zgodziła się, żeby co drugą wizytę miały wspólną. Przebierały się w różne stroje i były uległe, a on rozkazywał. Udawały Żydówki, komunistki, strażniczki, polskie uczennice albo inne, którekolwiek chciał, co sobie przypominał. Więcej pił, ponad butelkę dziennie. Wiedział o tym, ale nie miał zamiaru ograniczać się na stare lata. Wręcz przeciwnie. Nie będzie sobie narzucał żadnych granic. Szczególnie, kiedy się spełniał, kiedy mówił prawdę, a tylu ludzi okazało się tchórzami. Trzy razy z powodu jego zachowania wezwano policję. Został pouczone i zagrożono mu mandatem za niestosowne zachowanie i zniewagę innej osoby. Pensjonariusze unikali go. Był kłótlivy, fanatyczny, indoktrynował nieakceptowanymi przekonaniem. Nie robił sobie wiele z tego, bo miał rację. Rozmawiał o tym z pielęgniarką, kiedy przychodziła wysłuchiwać jego wspomnień. Zgadzała się z nim. Jedyna w pałacu rozumiała go i otoczyła ochroną. Bardzo ją polubił. Ufał jej. Została bratnią duszą. Ostatnią kobietą w życiu, która miała dla niego znaczenie.

Nie powiedziano mu, że postanowiono się go pozbyć przenosząc do innego ośrodka, a Justyna Fleischer miała znaleźć odpowiedni. Zajęła się tym pod

koniec października i w ciągu kilku dni przedstawiła ofertę, którą zaakceptował zarząd. W najbliższym czasie miano powiadomić o niej Sonnenberga. Kilkukrotnie była też na targu staroci poszukując konkretnego przedmiotu.

Odwiedziła starego jak zwykle w pewien listopadowy wieczór. Wiedziała, że nie opuścił pokoju od poprzedniego dnia. Te i podobne zachowania zaczęły przybierać na sile. Gdy był sam, głównie oglądał telewizję, czasami czytał, i pił alkohol, który donoszono mu codziennie, zastanawiał się, kiedy i jak zacząć realizować decyzję, którą już podjął.

Chce napisać wspomnienia.

Dla wszystkich patriotów, przyszłych pokoleń i niedowiarków. Może nawet skontaktuje się Budenmaierem i Flocem, w tej sprawie jest w stanie zapomnieć o urazie. Także z innymi, żeby zebrać jak najwięcej informacji. Poprosi Justynę o pomoc, przed nim sporo pracy. Był pewny, że nie odmówi. Traktował ją jak powiernicę, a ona zachowywała się tak, jak na powiernicę przystało. Cieszył się na spotkanie z nią.

Zapukała do drzwi. Oczekwała, aż zostanie zaproszona.

– Dzień dobry, panie Adrianie.

– Dzień dobry. Wejdz – ponaglił lekko. – Czekam na ciebie.

– Stało się coś? – rozejrzała się po pokoju.

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Chcę cię prosić o coś, co ma dla mnie duże znaczenie – powiedział przejęty.

– Panie Adrianie, wszystko, co pan mówi jest dla mnie ważne. Ja też chciałam panu coś powiedzieć, taki dzień. Oboje mieliśmy podobne przeczucia.

– Masz rację. W naszym przypadku to możliwe – spojrzał na nią bardziej, żeby ocenić, jak wyglądała, niż zainteresowany tym, co powiedziała. Zwyczajowo zapytał jednak: – Co chcesz mi powiedzieć?

– Zależy mi na tym, panie Adrianie, żeby to był wyjątkowy wieczór – usiadła na kanapie. – Dlatego poproszę, żeby nalał mi pan koniaku.

Patrzył zaskoczony.

– No, to rzeczywiście rzadka okazja. Jeżeli dobrze pamiętam, to dopiero drugi raz będziemy wspólnie świętowali. Pamiętasz, kiedy to było? – zapytał

zadowolony, że zgodziła się napić. Wstał i podszedł do serwantki po drugi kieliszek.

Nalał pielęgniarce i sobie. Podał jej kieliszek.

– To z jakiej okazji pijemy?

– Za znajomość i nasze spotkania. Za opowieść z „Prawdy i męstwa”. Nie użyję w stosunku do mnie i pana słowa przyjaźń, jeszcze nie. Nie pozwolę sobie na to. Ale wypiję za to, żeby prawda była górą, tak jak pan mówi.

– Dziękuję – był zaskoczony wyznaniem pielęgniarki. – Dla mnie te spotkania też mają duże znaczenie – napił się, by zwilżyć usta. Był trochę wzruszony. – Szkoda, że nikogo nie obchodzi, co mówię. Przeciwnie. Wzywają policję i obrażają się. Pieprzą komunały, których naczytali się w gazetach, albo zobaczyli w telewizji. Gównu wiedzą. Prawie wszyscy. Oprócz ciebie. Tak, Justyna. Ale to miał być przyjemny wieczór – przypomniał sobie. – Dajmy im na razie spokój. No, mów. Co chciałaś powiedzieć?

– Panie Adrianie, wszystkie te miesiące od początku naszych spotkań... – zbierała myśli. – Stał mi się pan bliski. Bliższy niż myślałam. Sprawy potoczyły się inaczej niż zakładałam i rozmawialiśmy za pierwszym razem. Pamięta pan?

– Myślę, że podświadomie chciałam wiedzieć, ponieważ jest to we mnie, tak jak i w panu. Z wielu rzeczy, muszę przyznać, nie zdawałam sobie sprawy. Pomógł mi pan bardzo. I ja także planuję odwdziżyć się – spojrzała na reakcję starego. Był zainteresowany. – Podejrzewam, że będzie pan ze mnie zadowolony. Taką mam nadzieję i tak planuję to zrobić. Jeżeli pan zechce, ponieważ decyzję zostawię panu.

– Słucham. Co to za niespodzianka? Na pewno na nią zasłużyłem? – udał skromność. Zauważyła, że ma błyszczące oczy. Zaczynał być wstawiony.

– Może mi pan dolać?

Sięgnął po butelkę.

– Chcę napisać pana wspomnienia, panie Adrianie.

Odstawił alkohol.

– Jak to możliwe? Ja też. Od kilku dni zastanawiam się, jak to zrobić – stwierdził z niedowierzaniem.

Patrzył na Justynę Fleischer. Siedziała nieruchoma, zaskoczona tym niesamowitym zbiegiem okoliczności.

– Widzi pan – odezwała się – cały ten czas nie poszedł na marne. Zostałam asystentką, kiedy pan jeszcze nie powiedział mi o tym – zaśmiała się.

– Na to wygląda. Tak – potwierdził uradowany.

Uzupełnił jej kieliszek.

– Co za zbieg okoliczności. Powiem ci, o czym myślałem – ucieszył się.

– Chciałbym, żeby miało to kształt wywiadu. Jak nasze spotkania. Może w odcinkach?

Napiła się. Sonnenbég też to zrobił.

– Myślałam bardziej o formie opowieści – zasugerowała. – Ale to możemy ustalić. Chciałam panu powiedzieć jeszcze dwie rzeczy.

– Później, Justyna. Teraz powiedz mi, co wymyśliłaś z tą książką.

– Zrobić panu już kolację? – zmieniła temat.

– Nie. Nie chce mi się jeść – podniósł kieliszek. Poczuł, jak alkohol przyjemnie zwilża usta i gardło wyschnięte z emocji. Dolał sobie. – Nie po to tu przyszedł. W jakiej formie byś to zrobiła?

– Teraz musimy o tym porozmawiać. Przecież pan też chce napisać tę książkę.

– No tak – potwierdził zadowolony.

Po godzinie, w trakcie której ustalali wstępne szczegóły, kiedy był już wystarczająco pijany i przekonany, że tylko Justyna Fleischer może napisać jego wspomnienia, zdecydowała się wrócić do informacji, które chciała przekazać.

– Panie Adrianie, muszę pana poinformować o dwóch rzeczach – powiedziała, jak gdyby mimochodem. – Żadna nie jest zależna ode mnie i są bolesne dla mnie też. Jako żołnierz wytrzyma je pan na pewno, nie takie rzeczy pan słyszał. Zrobimy to razem.

– Słucham – średnio zainteresowany sięgnął po alkohol.

Rzeczywiście słyszał i widział chyba wszystko na świecie. Przyjemnie zakręciło mu się w głowie. Lubił koniak. Popatrzył na kieliszek trzymany w swojej starczej dłoni. Bez złocistego płynu nie wyobrażał sobie życia. Podniósł kieliszek do ust i powoli przechylił.

– Te dwie rzeczy są powiązane. Tak jak my. Można użyć takiej przenośni.

– To nie jest przenośnia. My jesteśmy powiązani.

– Chyba ma pan rację – zgodziła się. – Nie powiedziałam panu jeszcze, że widziałam się z panem Flocem.

– Nie. A co u niego? – zapytał ironicznie. Informacja nie zrobiła na nim wrażenia. Widziała, że był mocno wstawiony. – Nadal wymyślają z Budenmaierem te swoje objawienia frontowe i kalumnie?

– Nie, już nie. Rozmawiając z panem Flocem odniosłam wrażenie, że żałują, że powiedzieli mi rzeczy nie do końca prawdziwe. Pan Budenmaier jest po wylewie.

– Ooo. Na każdego przychodzi czas.

– Chcieli dać panu upominek. Stan pana Budenmaiera jest ciężki. Jego żona przekazała dla pana coś, co podobno było z nim ustalone.

Wyjęła z torebki płaskie pudełko zapakowane w elegancki papier i przewiązane wstążeczką. Podała je Sonnenbergowi.

– Chcą dać to panu jako pamiątkę.

Stary obejrzał i położył na stole. Niezdarnie odwiązał kokardkę i wyjął pudełko z papieru. Był wstawiony.

– Chcą odkupić winy? Nie da się. Nie powinienem tego od ciebie przyjmować.

– Panie Adrianie, żałują tego, co mówili.

– Teraz niech się pocałują w dupy. Kłamliwe dupy. Wiesz, co to jest?

– Tak.

Zdjął wieko z kremowego pudełka.

Patrzył w milczeniu na to, co było w środku.

Wyjął powoli, obrócił ostrożnie.

– Wiesz, co to jest? – powtórzył.

– Pistolet, panie Adrianie.

– To nie jest pistolet, to jest Walter P38 – patrzył z pijackim sentymentem. – Ten model miałem na wojnie. Zawsze przy sobie. Przypięty do pasa. Niezawodny, celny. Ach. Cacko. Doskonały – zachwalał. Czknął. Doleciał

do niej okropny zapach jego trzewi. Podniósł pistolet z szacunkiem i przyjrzał mu się. – Nie wiedziałem, że Budenmaier uratował swój i trzymał przez te wszystkie lata.

– Może pan wycelować? – poprosiła.

Nie odezwał się. Włożył pistolet w chwiejną, kościstą dłoń. Wyprostował rękę celując w stronę kuchni.

– Naładowany jest? – zapytał.

– Tak. Cały magazynek.

– Proszę – próbował przybrać poważny, trzeźwy ton.

Trzymał broń skierowaną w jeden punkt, jakby czekał na moment wystrzału.

– Celuje pan w Żydówkę albo komunistkę, panie Adrianie? – powiedziała pielęgniarka.

– Jeszcze nie. Dolej mi.

Wstała i podeszła do kieliszka uzupełnić staremu alkohol. Usiadła na kanapie. Sonnenberg nieznacznie opuścił bron. Napił się. Podniósł pistolet do poprzedniego poziomu.

– Niech pan wyceluje we mnie – poprosiła.

– Nie żartuj, Justyna – obruszył się. – Coś mogłoby się stać, gdybym nie chcący zawadził cyngiel. Stary już jestem i trochę wypilem.

Opuścił pistolet. Przyglądał mu się z podziwem.

– Nie boję się, panie Adrianie. To pan jest żołnierzem i podejmuje decyzje.

– Nigdy nie celowałem w Niemców, którzy nie zasługiwali na to.

– To niech pan wyceluje tam – wskazała kuchnię i łazienkę. – Wie pan, kto tam stoi.

– Tam tak. Wiem.

Ponownie wycelował.

– Chciałabym, żeby pan strzelił. Niestety, teraz nie można – powiedziała, gdy stary obrócił się i opuścił pistolet. – Panie Adrianie, chcę powiedzieć o dwóch rzeczach, od których zaczęłam. Wszystko niestety łączy się ze sobą, ale jeżeli chcemy – pan i ja – możemy to rozwiązać.

Sonnenberg nie rozumiał, o czym mówi pielęgniarka. Wzrok miał mętny. Zaczynał być zmęczony. Czuł się prawie pijany.

– O czym ty mówisz, Justyna?

– O rzeczach, które dotyczą mnie i pana. Zarząd podjął decyzję, żeby nas rozdzielić. Pana chcą przenieść do ośrodka w Zamel w Badenii. Ja muszę się zwolnić albo iść na wcześniejszą emeryturę. Nie rozumieją nas. Pana oskarżają o złe zachowanie, a mnie o to, że pomagam panu, zajmuję się nim i ochra-
niam. Tak twierdzą.

– Nie mogą tego zrobić – rozżłościł się. – Nie mogą przenieść mnie bezprawnie, to niemożliwe. Ani wysłać ciebie na emeryturę, czy zwolnić. To też niemożliwe – zdenerwowany poruszył się w fotelu, próbując zebrać myśli.

– Mogą nawet coś gorszego, panie Adrianie. W umowie jest zapis, że mają prawo nie przedłużać pobytu. Chcą panu iść na rękę. Znaleźli ośrodek. W Zamel. Mnie też dali wybór – zakończyła z sarkazmem.

– Nie ma takiego. Sram na ich rękę – wypił. Pochylił się do stołu. Nie-
wprawnie dołał sobie do kieliszka. – Tchórze. Boją się prawdy. Cała banda
tych bezideowych pseudoniemieckich obywateli, która tu pracuje i mieszka.
Połowa z nich to Schmilkiele. Nigdzie nie jadę.

– Chcą nas rozłączyć, niestety. Przynajmniej będę miała czas, żeby pisać o panu książkę.

– Właśnie. Masz napisać przecież książkę. Moje wspomnienia – przypomniał sobie. – To nie może się udać. Nie mogą tego zrobić !

– Książką proszę się nie martwić. Jeżeli ustalimy, że mam ją napisać, to napiszę. Muszę to zrobić, panie Adrianie. Jutro mam pana oficjalnie powiadomić. A w środę kończy się miesiąc. Napijmy się po małym kieliszku – zaproponowała. Wstała, żeby nalać.

Sonnenberg rozmyślał zdenerwowany.

– Nigdzie nie jadę, a ty zostajesz w pałacu. Powiem im jutro, że będę grzeczny i każdemu będę mówił pięć razy dziennie dzień dobry. Skoro tego chcą. Banda – głowę niezdarnie podparł ręką. Patrzył w podłogę i zastanawiał się.

– Zrobiłby pan to? Teraz, kiedy mam pisać książkę? Zrobiłby pan to? Nie wierzę. Jest pan zaskoczony tak jak i ja byłam wczoraj, kiedy mi powiedzieli. Próbuje pan znaleźć wyjście z sytuacji, ja też próbuję. Ale nie może pan iść i mówić im tego. Milczeć teraz, to jak zaprzeczyć. Co z książką? – pytała retorycznie.

Upiła łyk koniaku. Sonnenberg zrobił to samo.

– Proszę pokazać mi pistolet – wyciągnęła po niego rękę.

Sonnenberg podał go.

– Uważaj tylko na spust – ostrzegł niewyraźnie.

Wzięła broń. Obejrzała.

– Zadbany. Prawie w nienagannym stanie.

Ścisnęła go między dłońmi, jakby ogrzewała. Potrzymała chwilę i oddała staremu.

– Całe zawodowe życie tu spędziłam. I tak mnie potraktowali. Gdyby nie książka o panu, moje życie straciłoby sens. Będę panu dosyłała pocztą rozdziały. Wytrzyma pan to. Jest pan żołnierzem. Może w nowym miejscu będzie lepiej niż tutaj – zastanawiała się. – Na pewno. Musimy być dobrej myśli. Będę pana odwiedzała co jakiś czas – obiecała.

– Nie zgadzam się. Nigdzie nie jadę – protestował. – Musimy jakoś to załatwić. Zostaję tu. Ty też. Napiszę skargę do rady społecznej. Pomogą mi. Jestem weteranem – przypomniał.

– Oby panu pomogli. Mnie nie pomogą. Chociaż, niestety, nie słyszałam jeszcze, żeby rozpatrzyli pozytywnie jakieś odwołanie. Chodzi o opłaty i pozostałych klientów – wyjaśniła.

– Muszą. Pieprzę ich. Muszą, Justyna – stwierdził. Był już bliski upicia się.

– Ja też bym chciała być z panem. Ale to chyba już niemożliwe.

– Uda się, Justyna. Uda.

Spojrzała na niego poważnie.

– A może, panie Adrianie, zamiast pisać książkę zrobmy coś, co przypieczętuje nasze spotkania. To, o czym pan mówił, czego słuchałam. Pokażmy honor – zaproponowała enigmatycznie.

– Co masz na myśli?

Chwyciła go za rękę, w której miał pistolet. Podniosła do góry celując w siebie.

– Proszę strzelić. Chcę tego – oznajmiła zdecydowanie. – A później pan zadecyduje.

– Żartujesz – wystraszył się. Opuścił dłoń.

– Nie, panie Adrianie. Mam honor. Nie chcę, żeby ktoś dyktował mi, co mam robić. Na dodatek niesprawiedliwie – napiła się. Sonnenberg też. – Nie odpowiada mi to i nie chcę, żeby nas rozdzielono. Myślę, że mnie pan zrozumie. Wie pan o honorze więcej niż ja.

Stary zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Zaskoczyłaś mnie. Naprawdę nie marnowałaś czasu, jak tu przychodziłaś. Mnie też nie pozostawiasz wyboru – spojrzał na pistolet i zapytał: – O książce zapomniałaś?

– Oczywiście, że nie, panie Adrianie. Napisałabym ją i chcę tego. Ale nie w takich warunkach. Po tym, co mi zrobili. Musi pan to rozumieć.

– Napiszesz o mnie książkę? – upewnił się, ale nie dał jej odpowiedzieć. – Zrobimy tak, jak ja chcę. Ostatni rozdział będzie dzisiaj. I to będzie najlepsze zakończenie godne wspomnienia. Nigdzie się nie wybieram. Zostaję tu – ścisnął wargi. – To ja odejdę jak żołnierz. Obiecay mi, że napiszesz o mnie to, co mówiłem – zażądał. – Nie bój się nikogo. Prawda ma służyć ludziom. Muszą wiedzieć, co się dzieje. Dlaczego tak jest. Przede wszystkim, dlaczego tak jest. Obiecay, że nie zastrzelisz się, tylko napiszesz o mnie książkę.

Wahała się.

– Obiecuję.

– Wiem, że napisze ją niezwykła osoba – podsumował. – Odsuń się i usiądź na końcu kanapy – wyjął magazynek i sprawdził, czy rzeczywiście jest naładowany. Zatrzasnął go z powrotem.

– Należy zawsze strzelać w usta. Lufa do góry pod kątem czterdziestu stopni. Wtedy śmierć jest pewna. Wszystko jeszcze pamiętam. Bardzo cię lubię – powiedział po chwili Justynie Fleischer. Wstał z fotela. Chwiejąc się

przeszedł parę kroków. Stał na baczność na środku pokoju. Prawą wyprostowaną rękę uniósł w powitalnym geście.

– Heil Hitler.

Popatrzył ostatni raz na pielęgniarkę.

– Napisz o mnie książkę – z trudem utrzymywał równowagę.

Włożył pistolet do ust i strzelił. Upadł szybko i śmiesznie, jak młot, w który wierzył.

Justyna Fleisher z pogardą spojrzała na zwłoki. Sprzątnęła ze stołu kremowe pudełko, papier i wstążkę. Schowała je do torebki i wyszła.